Nr. 13. Warszawa, dnia 14 (26) Marca 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Dwudziesty pierwszy marca. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: W. Doroszewicz: Sachalin (c. d.). — ŻYCIE SPOŁECZNE: Politechnika. — Kronika poznańska, p. et. — Tortury Hiszpanii współczesnej, p. W. Bugla. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Zenon Pietkiewicz: Szkice społeczne, p. K. R. Ż. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska. — Klemens Junosza Szaniawski (wspomnienie pozgonne). — Notatki literackie i artystyczne. — POEZYE: Uśmiech błazna, p. Władysława Sterlinga. — POLEMIKA: O prawdę. Prawda i prawdopodobieństwo, I, p. Ad. Mahrburga. — W dali. — Kronika. — Ofiary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

DWUDZIESTY PIERWSZY MARCA.

„Ostatnia próba" już po dwu tygodniach określić się daje jako nieostatnia niedola tej prawdziwie przez los ciężko próbowanej Przedlitawii. Hr. Thun robił wszystko, co mógł, przed zebraniem się Rady państwa, zwołanej jeszcze przez Gautscha — aby Niemców ugłaskać i radzącym zapewnić tyle przynajmniej spokoju, ile go najpilniejsze, gorące, nieodwrócone sprawy potrzebują do przejścia przez prawodawcze rozumy, gardła i pięści. Powołanie Baernreithera z wielkiej własności niemieckiej w Czechach do gabinetu, powierzenie prezesowstwa w sejmie Niemcowi, Fuchsowi; cofnięcie „Lex Falkenhayn"; gotowość do pozostawienia rozporządzeń o językach krajowych w Czechach w stanie martwej litery; wogóle odchylenie się od prawicy tak wielkie, że Koło polskie ministra swego w gabinecie uważa jedynie za symbol zastrzegający prawa Galicyi — wszystko to miało zażegnać burzę: tymczasem burza odrazu już, pierwszego dnia, pierwszej godziny, zawyła. D. 21 marca Niemcy powrócili w takiem samem usposobieniu, w jakiem d. 26 listopada opuszczali Izbę, od scen karczemnych cuchnącą. Wolffy i Schonerery są znowu panami położenia — i z urn krasomówstwa swego po dawnemu leją na głowy pomyje.

Niema już Badeniego, niema już rozporządzeń; nowe przepisy, wydane przez Gautscha, zgodnie z wolą Niemców, dzielą Czechy na niemieckie, czeskie i czesko-niemieckie; ale te warchoły, spółkujące ze zdradą, wołają jeszcze wciąż o pociągnięcie do odpowiedzialności, nietylko Badeniego, jak dawniej, ale i jego następcy. Wiedzą oni doskonale, że odpowiedzialności być nie może tam, gdzie niema przestępstwa, i że gdyby nawet było, nigdy-by większość na wydanie ministrów swoich nie przystała. Krzyczą przecież, bo krzyku potrzebują, aby nie pozwolić sejmowi na żadną zgoła pracę; krzyczą, bo zapaliły się w nich wątroby, a pycha nie może strawić tego, że coś się stało przeciwko ich woli. Wybór Niemca, Fuchsa, byłego wice-prezesa, za Abrahamowicza — na marszałka sejmowego, zamiast uśmierzyć, przeciwnie, rozsrożył to obydne stronnictwo, złożone z dzieci narodu kroczącego na czele cywilizacyi. „Szubrawiec, łotr, zbrodniarz; precz z nim! do kryminału!" — tak przyjęto na lewicy wynik głosowania, z góry zresztą wiadomy, jak w każdym wogóle sejmie w najnormalniejszych znajdującym się warunkach. Niemcy nie chcieli ani miłego, ani niemiłego sobie prezesa — nie chcieli wcale prezydyum, nie chcą wogóle takiego sejmu, w którymby nie mieli liczebnej większości. Na prezesa nie głosowali.

Taktyka tych zdrajców państwa, mających już swój biegun magnetyczny w Berlinie, zmierza do zupełnego uniemożliwienia rządu, do wstrzymania całej machiny rządowej i wpędzenia cesarza Franciszka Józefa w nieprzepartą, żadną siłą niedającą się zmódz, ani odwrócić, konieczność rządzenia tylko z nimi, Niemcami. Wtedy dopiero poznałyby ludy przedlitawskie nieubłaganą niemiecką prawicę! Żadnemu z nich już przez długie lata nie przyśniłyby się prawa historyczne, szkoły, urzędy, sądy w języku ojczystym, okręgi narodowe, czyste czy mieszane, autonomie, federalizmy, wreszcie *jura reservata*, nadane np. Galicyi przez osobistą wolę panującego. Wszystko to zmiótłby wicher germański i sprowadził do jednego centralistycznego poziomu. Gdyby się teraz Niemcy do władzy dorwali, Austrya Bacha stałaby się wskrzeszoną z dziejów rzeczywistością; mniej klerykalizmu, więcej gazeciarskiego gadulstwa, nazywanego wolnością prasy—taka tylko byłaby różnica. Pogwałcenia konstytucyi — na które dziś uskarża się ta niegodziwa sofistyka niemiecka, gdy Badeni i Gautsch, z mocy prawa konstytucyjnego wydają rozporządzenia dla Niemców niemiłe — wtedy dokonałby niemiecki rozum stanu z pomocą samej konstytucyi, w nowym sejmie przedlitawskim wybranym w żarze terroryzmu.

Jeżeli już istotnie żywiołowe samolubstwo niemieckie sprowadzi bieżące wypadki austryackie do równania zestawiającego rządy niekonstytucyjne, sprawowane przez samego cesarza, z rządami konstytucyjnemi, sprawowanemi przez Niemców—wtedy ani zdrowy rozsądek publicystyczny, ani żywy, bezpośrednio tknięty instynkt ludów przedlitawskich — wahać się nie powinien: lepsze będą rządy niekonstytucyjne od konstytucyjnych. Cesarz tylko może dokonać powrotu do dyplomu październikowego; on jeden może, w razie zawieszenia konstytucyi dzisiejszej, wprowadzić federalizm, raz na zawsze

zapobiegający takiemu nadużywaniu praw politycznych, takim zamętom, bezprawiom i niebezpieczeństwom, jakich nam widok daje teraz Przedlitawia. Chociażby tylko dla utrzymania jedności państwowej z Węgrami, dla zawarcia tej nieszczęsnej ugody, rozmyślnie przez bunt niemiecki tamowanej, cesarz, nie otrzymawszy uchwały od Rady państwa, będzie ją musiał wydać z samego siebie. Doktrynerstwo tylko mogłoby go za to oskarżać, waryactwo — potępiać. Państwo powinno nareszcie wydobyć się z niewoli ulicznikó w politycznych: a w poszanowaniu prawa, które jest złem, nie wolno mu spokojnie wyglądać zbliżającej się śmierci. Centralistyczne czy cesarskie rządy będą rzeczywiście „ostatnią próbą.“

Tydzień polityczny. Najjaskrawiej w świetle aparatu dziennikarskiego wyglądają stosunki Hiszpanii ze Stanami Zjednoczonymi. Tu zdawałoby się, że wojna już tylko wisi. Kongres rzeczywiście dał Mc Kinleyowi 50 mil. dol. na uzbrojenia: ma to pójść na zbrojny spór o Kubę. Jednocześnie telegraf zabawia nas doniesieniem, że Mc Kinley przyjął następcę Dupuy de Lhôme'a, nowego posła Bernabego, serdecznie. Poseł angielski wyraził zadowolenie z opieki nad Kubą, lecz przytem i nadzieję, że się ta opieka bez wojny obędzie. Zaraz też zjawiła się wieść, że Stany Zjednoczone gotowe są dać za wolność wyspy 500, a nawet 750 mil. — chyba franków, nie dolarów. Hiszpania schroniła się pod skrzydła Europy, którą na początek jest cesarz Wilhelm, zdaje się naprawdę usiłujący wywołać jakiś zbiorowy protest przeciwko polityce wielkiej rzeczpospolitej.

Wprowadzony na porządek dzienny świata rozbiór powolny Chin wszystkie mocarstwa pobudził do wzmocnienia się na morzu. W Niemczech sejm jeszcze w listopadzie otrzymał projekt siedmiolecia, około którego wirują teraz najważniejsze interesa stronnictw. Nowych nakładów zażądał p. Goschen, pierwszy lord admiralicyi, uspakajając wszakże Anglię, żeby się nie lękała; w r. 1872 wydano 9½ mil. funtów, dziś 23½. Anglia jest najpotężniejszą i długo będzie miała przewagę. Do wojny nie dąży, ale tryumf w niej ma pewny. Niezależnie od floty etatowej, opłacanej z wyraźnych kredytów, ma państwo zasoby cichaczem przygotowane.—We Francyi surowe krytyki zakończą się uchwaleniem nadzwyczajnych środków przez nową już może Izbę. Przykład Niemiec jest tu biczem podcinającym. W Rosyi wreszcie 90 milionów rubli przeznaczono na uzbrojenia za przykładem innych mocarstw.

D. 10 b. m. Izba dep. sejmu pruskiego uchwaliła ostatecznie drugie 100 mil. dla komisyi kolonizacyjnej. P. Molty zaprotestował. Chyba teraz nie będzie się już Koło namyślało: co począć z flotą? Po próbie zrobionej z polityką p. Kościelskiego, polityka p. Cegielskiego teraz, gdy sam szambelan zszedł z estrady — mogłaby być już tylko dziecinnie lekkomyślną, nieuczciwie bezmyślną. Protestacya byłaby dźwięczniejszą i donioślejszą, gdyby jej nie tłumił szwargot układów z komisyą kolonizacyjną o sprzedaż ziemi polskiej. Nie słów, ale czynów potrzeba — czynem zaś najpowszechniejszym szlachty polskiej w Poznańskiem jest budowanie sobie pałaców i zamków, urządzanie salonów, wyprawianie świetnych przyjęć, balów i polowań, życie na tak zwanym wielkim świecie, pięcie się na gwałt ku arystokracyi, a jakże często ku arystokratycznej hałastrze! Wszystko, co żyje, żyje nad skalę. I jakże ta ziemia polska nie ma w ręce niemieckie przechodzić? Bismarckowskie „Monaco“ to nie podła krzyżacka ironia, ale straszliwe ludzkie „Memento mori.“ „Monaco,“ to zbytek, trąd nas toczący. Znieprawionym głupcom na nic się surowy głos nie przyda, ale czysta jeszcze wola i niezrobaczałe sumienie mogą jeszcze i powinny w nim znaleźć całą religię obowiązku. Postanowiwszy wytępić, Niemcy sięgają po coraz nową broń i posuwają się też coraz dalej. Książę Hatzfeldt, nadprezydent Szlązka, proponuje już rządowi szlązką komisyę kolonizacyjną.

Ks. Kopp, kardynał biskup wrocławski, bawi w Rzymie jako pośrednik między rządem niemieckim a Watykanem i odwołującym się do niego Środkiem. W przeszłym tygodniu stronnictwo katolickie wzięło na kieł w sprawie siedmiolecia morskiego i wróciło do zasady *do ut des*. Książę biskup ma je zjednać dla rządu za jak najniższą cenę.

Komisya budżetowa sejmu niemieckiego w drugiem czytaniu już przyjęła projekt siedmiolecia morskiego. Posadowsky, kierujący skarbowością, wprzód zaręczył, że nowych podatków nie będzie, a potrzeby, o ile ich nie zaspokoją przewyżki normalne, pokrywać będą pojedyncze państwa. Co wytargowało dla siebie centrum—jeszcze nie wiadomo, Przejście projektu pewne. Ogromnie on już uzbroi Niemcy: czterysta kilkadziesiąt mil. marek na nowe okręty—to daje i dało też do myślenia.

Niemcy wycofały z Krety swego Oldenburga. *Fremdenblatt* i *N. fr. Presse* dowodzą, że Austrya nie może iść za ich przykładem, od steru wszakże i ona odstępuje. Kończy się słynne panowanie „admirałów.“ Opieka nad Kretą wraca do tych, którzy ją od początku samotrzeć sprawowali: do Rosyi, Francyi i Anglii.

Francya postawiła Chinom żądania bardzo daleko idące; przyjęte wytworzyłyby pogranicze chińsko-tonkińskie i syamskie w mocy Francuzów. Rzeczpospolite chce nadto posiąść Hainan i usadowić się nawet pod bokiem Anglików ponad rzeką kontońską. Oczywiście, może liczyć na Rosyę. Rezolutny p. Curzon w Izbie gmin ma bardzo kwaśną minę; odmawia już odpowiedzi.

Japonia zbroi się. Zapowiedziała jakoby nieustąpienie swoje z Wei hai-wei, nawet w razie spłacenia kontrybucyi. Dość to naiwne — i dlatego podejrzane. W polityce mówi się tylko, czego się nie zrobi — aby ostatecznie zrobić.

Ważna bardzo nota urzędowa z d. 18 b. m. zarysowała stosunek Rosyi do Korei, gdzie „pośród mężów stanu wytworzyło się stronnictwo wrogo usposobione dla cudzoziemców wogóle, a które jawnie oświadczało, że Korea weszła już na drogę samodzielności.“ Wskutek porozumienia się z rządem koreańskim postanowiono wydać rozporządzenie o odwołaniu radcy finansowego (jest nim p. Aleksiejew). O instruktorach wojennych czytamy w nocie:

„Po opuszczeniu przez nich armii koreańskiej pozostaną oni częściowo w rozporządzeniu misyi naszej ze względu na niewyjaśniony jeszcze stan rzeczy w Korei.“ Nota kończy się następującem oświadczeniem:

„Nieskrępowana nadal odpowiedzialnością, którą wkładał pobyt w kraju instruktorów rosyjskich i radcy (finansowego), Rosya może odtąd powstrzymywać się od wszelkiego udziału czynnego w sprawach Korei, żywiąc nadzieję, że wzmocnione dzięki jej poparciu młode państwo okaże się zdolnem do samodzielnego utrzymania tak porządku wewnętrznego, jako też zupełnej niepodległości. W przeciwnym razie Rząd Cesarski przedsięweźmie środki ku zabezpieczeniu interesów i praw służących Rosyi, jako graniczącemu z Koreą wielkiemu mocarstwu.“ Nota wywołała w całej Europie wrażenie głębokie.

---

45)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

O Połulachowie *), zabójcy rodziny Arcimowiczów w Ługańsku, mówiono mi, że niezwykle chętnie i niezwykle bezczelnie opowiada o swojej zbrodni.

Z szyderstwem mówi o swoich ofiarach „w liczbie mnogiej.“

— Pan Arcimowicz spali ot, tak, a pani Arcimowiczowa — tak. Najpierw zabiłem *ich*, a potem poszedłem zabić panią Arcimowiczową z *ich* dzieckiem. „Pani“—mówię... itd.

Rozmawiałem z Połulachowem przez dwa dni, prawda, z przerwą kilkodniową, bo nerwy nie mogłyby wytrzymać — tak jest „ciężki“ ten człowiek.

Pytałem go i uważnie słuchałem opowiadania o całem życiu, o najdrobniejszych szczegółach jego dzieciństwa i młodości, szczegółach ciekawych, cennych tylko dla niego; wnikałem w każdy drobiazg jego życia. I gdy potem doszedł on w opowiadaniu do swojej zwierzęcej zbrodni — nie było już w tym opisie ani „pana,“ ani tej ironicznej „liczby mnogiej,“ ani przechwałek, ani przesady.

Nigdy nie zapomnę tego wieczora.

Siedzieliśmy obaj, blizko pochyliwszy się do siebie. On mówił po cichu, jakby się bojąc, ażeby kto nie podsłuchał tej strasznej opowieści. Nie lekko mu przychodziło to opowiadanie.

O niektórych szczegółach ciężko mu było mówić. Pomijał je zawsze milczeniem w swoich „wesołych“ opowiadaniach o zbrodni.

Ale cóż to za szczegóły!

Czułem, że wszystko mi płynie przed oczami; że jeszcze chwila — a zemdleję.

I tylko to, żem postanowił nie pokazać tego wzruszenia wobec katorżnika, powstrzymało mię od zawołania:

— Wody!

Wszakże potrzebna mi była opinia katorgi: przybyłem, ażeby ją poznać.

Pomnę, jak po wysłuchaniu pewnych szczegółów rzuciłem się, prawie upadłem plecami na poręcz krzesła, jak mi oddech zatamowało i mimowoli wyrwało się z piersi westchnienie, podobne raczej do jęku.

— Ot, widzi pan; nawet i panu słuchać przykro! — rzekł Połulachow.

Spojrzałem na niego. Twarz miał zmienioną.

Bywają opowiadania cyniczne przez swą otwartość; — spokojnych opowiadań niema.

Nie!

Dużo słyszałem spowiedzi, gdy zbrodniarze mówili mi wszystko; często z rumieńcem na twarzy odpowiadali na najdrażliwsze pytania, które zadawać było nieprzyjemnie. Dużo słyszałem tych spowiedzi w cztery oczy przy drzwiach zamkniętych. Nieraz skazańcy mówili półgłosem, ażeby kto nie podsłuchał „tajemnic katorgi.“

Zbrodniarze usiłowali zawsze przybrać spokój; ale tylko usiłowali.

Nie trzeba być szczególnym fizyognomistą, ażeby widzieć, jak ich wzburzają te wspomnienia, jak oni starają się stłumić, ukryć te wzruszenia.

Zwykła poza zbrodniarza podczas opowiadania o szczegółach zbrodni, jest taka:

Siedzi bokiem do słuchacza, patrzy gdzieś w kąt, bezwiednie obraca coś w rękach. Na ustach gra mu sztuczny, wymuszony uśmiech, oczy się palą niedobrym jakimś gorączkowym ogniem.

Nieraz mieni się twarz, drgają mięśnie policzkowe, głos wychodzi z gardła zdławiony.

Prawie każdy po dziesięciu minutach opowiadania, jest znużony, znękany, rozbity.

Słyszałem opowiadania i widziałem przestępców, wobec których Połulachow jest zaledwie „początkującym.“ Jeden z nich, Losnikow, opowiadał mi, jak wyrznął dwie rodziny: jedna z pięciu, druga z sześciu osób złożona. Prochorow-Mylnikow opowiedział o zarzynaniu dzieci. Inni — o rozkopywaniu mogił. Opowiadali swoje wrażenia także ludzie, skazani na

---

*) Więzienie aleksandrowskie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POLITECHNIKA.

Warszawa święci w dziejach szkolnictwa swego bardzo ważną uroczystość. Politechnika już uzyskała Najwyższe zatwierdzenie i ma być otwartą w przyszłym roku szkolnym. Na wzniesienie tego zakładu przeznaczono milion rubli, zebrany w Królestwie Polskiem. Ale ponieważ według opinii p. ministra skarbu, sumy tej nie wystarczy, więc postanowiono uzupełnić ją nowemi składkami. W tym celu uchwalono stworzyć komisyę specyalną pod przewodnictwem Generał-Gubernatora J. O. Ks. Imeretyńskiego. Jednocześnie zajmie się ona opracowaniem szczegółowego projektu założenia politechniki w Warszawie.

Ponieważ losy otwarcia tego zakładu u nas są już rozstrzygnięte, więc obecnie na porządek dzienny wysuwa się inna niezmiernie doniosła kwestya: Co trzeba uczynić, ażeby politechnika warszawska stała się zakładem pierwszorzędnym i rzeczywiście odpowiadającym potrzebom życia? Nad tem pytaniem muszą się zastanowić przedewszystkiem twórcy programu nowego zakładu naukowego. Zadanie to wszakże nie jest łatwe i nie może być pospiesznie na poczekaniu rozstrzygnięte. Chodzi tu bowiem o gruntowne zbadanie potrzeb kraju obecnych i — przypuszczalnie przyszłych. Wiele gałęzi przemysłu nie powstało u nas jedynie z braku sił fachowych. Wiele się nie rozwinęło należycie i nie wyrosło nad poziom tandety również z tej samej przyczyny. Nie można jednak terminu otwarcia politechniki stawiać w zależności od gruntownego i wszechstronnego zbadania tych potrzeb. Będzie się ona doskonaliła i rozwijała stopniowo i przystosowywała do tych potrzeb życia. Jedną tylko kwestyę zawczasu trzeba jasno postawić: Jaki charakter pomocniczy w rozwoju ekonomicznym będzie nosił nowy zakład naukowy i dla jakich terytoryów będzie wytwarzał siły fachowe? Gdyby je wytwarzał przeważnie „na wywóz," straciłby do pewnego stopnia swoją doniosłość. Politechnika potrzebna jest dla *naszego kraju*.

Najbardziej w tem zainteresowani są oczywiście przemysłowcy, którzy, o ile się nie mylimy, zajmują wybitne miejsce na liście ofiarodawców. Dziwić się temu nie można, gdyż jest to znamienne i powszechne zjawisko warunków i urządzeń obecnych. Przemysłowiec dąży do coraz większego udoskonalenia techniki przemysłowej, a więc i do pomnożenia zysków. Do sumy zaś środków w tej mierze należy, obok machin najnowszego systemu, technologii, chemii, elektryczności itd., jeszcze wyspecyalizowana zdolność rozumnych istot żywych. Dotychczas przemysł posługuje się takiemi siłami wytwarzanemi za granicą, a więc kosztowniejszemi niż te, które mógłby dać zakład krajowy. Za granicą przedstawiciele produkcyi wielkoprzemysłowej przywiązują ogromną wagę do tego szczegółu i starają się sami nie szczędzić kosztów na zakładanie szkół specyalnych, a nawet bardzo chętnie kształcą fachowców własnym kosztem. U nas pod tym względem dają się zauważyć zjawiska nienormalne. Przemysł w Królestwie Polskiem od lat wielu zajął wybitne stanowisko i w stosunku do gubernij ościennych i dalszych ku Wschodowi stanął na bardzo wysokim szczeblu. Nie mógł jednak poprzestać na spożywcach krajowych, więc dążył gorączkowo do wyrobienia sobie licznych i odległych rynków na Wschodzie. Ponieważ tam kultura stała jeszcze bardzo nizko i dawała się zaspakajać byle czem — zaczęto u nas wytwarzać tandetę na wywóz w nadmiernej ilości. W wielu gałęziach produkcyi obejrzano się już za późno, gdy zła sława się ustaliła. Jednocześnie w wielu odległych miejscowościach, podbitych przez nasz przemysł, zaczęła się podnosić dość szybko kultura, wyrabiać się wybredność i większa świadomość potrzeb śród spożywców, a nadto powstało tu i owdzie dość groźne współzawodnictwo. Przedstawiciele produkcyi wielkoprzemysłowej spostrzegli swoje groźne położenie i przyszli do przeświadczenia, że chcąc zdobyć sobie rzetelne uznanie, trzeba porzucić tandetę, a natomiast podnieść jakość produkcyi; zarazem należy rozwinąć i wytworzyć różne nowe gałęzie przemysłu, które podniosłyby intenzywność wytwórczości, rozszerzyły i urozmaiciły jego pola. Ponieważ do tego można dojść tylko za pomocą rzetelnie uzdolnionych i ukształconych sił fachowych, więc w świadomości interesowanych dojrzała ostatecznie potrzeba wytwarzania takich sił w kraju.

To jest embryon naszej politechniki. Produkcya wielkoprzemysłowa w Królestwie Polskiem posługuje się bądź specyalistami sprowadzanymi wprost z zagranicy, bądź fachowcami, wysyłanymi z kraju dla zdobycia wiedzy w zakładach obcych, bądź wreszcie pewną kategoryą „inżenierów," „mechaników," „technologów" itd., którzy nie posiadają gruntownie żadnych specyalności, lecz tylko ogólne wykształcenie zawodowe.

Łatwo teraz zrozumiemy, dlaczego wytwarzanie sił fachowych w politechnice

---

powieszenie, których ułaskawiono, gdy stryczek już mieli przed oczami.

Opowiadanie „między sobą" o swoich przestępstwach — to rzecz zwykła w katordze.

— Wprost strach! — mówili mi ludzie inteligentni, którzy czynili wyprawy dla zbadania wyspy; leżę wieczorem i przysłuchuję się, o czem mówią z sobą katorżnicy, moi przewodnicy i tragarze. Tylko i słychać: „Ja tak zabiłem; a ja tak..."

Ale o czemże w katordze więcej mówić można? W czasie obecnym niema nic, więc trzeba przypominać przeszłość.

Gdy przybywa nowy aresztant, nikt go nie spyta:

— Za co?

To nie jest przyjęte. Każdy strzeże swej godności. Nikt nie chce ujawnić „strony słabej," za jaką jest uważana ciekawość.

Rozmowa „o tem" zaczyna się dopiero po kilku dniach, powoli; zapytujący sam najpierw opowie „przy sposobności," za co tu się dostał i w trakcie rozmowy, jakby nie chcąc, nagle zapyta:

— A ty za co?

I to takim zawsze tonem, w którym dźwięczy: „chcesz, to opowiadaj, a nie chcesz — nie ciekawym."

I wtedy opowiadanie nowego przybysza wysłuchiwane bywa z wielką ciekawością.

Trzeba przecież wiedzieć, co to za człowiek wszedł do „rodziny," do czego jest zdolny, czy może być dobrym towarzyszem w razie ucieczki lub przestępstwa.

Z przechwałkami, z ubarwieniem, z dumą opowiadają o swych zbrodniach tylko „Iwany."

Pamiętam np. Szkołkina *), zbrodniarza-recydywistę, który wszelkiemi siłami starał się zdobyć sławę i nazwę „Iwana."

Zabił już na Sachalinie deńszczyka kapelmistrza.

Zabił zwierzęco, w dzień biały.

Dowiedziawszy się, że kapelmistrz „musi mieć pieniądze," przybył do mieszkania w jego nieobecności, ogłuszył uderzeniem deńszczyka, zaciągnął go pod podłogę i zaczął zarzynać.

Cienki nóż kuchenny giął się i nie wchodził w ciało.

Wtedy Szkołkin przewrócił swoją ofiarę twarzą do ziemi, odchylił koszulę, przerznął niewielką rankę i powoli wepchnął nóż po samą rękojeść.

W tej chwili do mieszkania kapelmistrza ktoś wszedł, posłyszał szmer pod podłogą i domyśliwszy się czegoś złego, wybiegł, ażeby zaalarmować ludzi.

Akurat wtedy przejeżdżał gubernator, który natychmiast kazał aresztować zabójcę.

Szkołkin jest bardzo dumny ze swojej zbrodni i z tego, że go „aresztował sam gubernator," że go, według zdania katorgi, „czekał stryczek"; dumny wreszcie jest ze swego spokoju.

Kilka razy nawiązywałem z nim rozmowę na ten temat, udając, żem zapomniał tego lub innego szczegółu i za każdym razem Szkołkin chętnie opowiadając o zbrodni, dodawał zawsze jeden niezmienny frazes:

— Wyszedłem na ganek z uśmiechem.

Ten uśmiech, z którym on wyszedł na ganek do tłumu z miejsca, gdzie przed chwilą zamordował człowieka — to jego duma.

Często jednak po za temi przechwałkami kryje się coś innego. Nieraz jest to tylko chęć zagłuszenia męczarni moralnych, chęć dodania sobie odwagi, odpędzenia strachu — śmiechem.

Tak samo dzieci, które się boją zostać wieczorem w ciemnym pokoju, w dzień chwalą się swoją odwagą, śmieją się z wszelkich widziadeł:

— Niech przyjdą!

— Pracowałem w warsztacie szewckim — opowiadał mi pewien przestępca inteligentny, zabójca — razem z nami pracował niejaki Smirnow, recydywista, który popełnił mnóstwo zbrodni, człowiek młody. Strach nieraz ogarniał, gdy się słuchało jego słów. Oprócz opowiadań o swoich zabójstwach, nie miał on innego tematu. Mówił o nich z przyjemnością, z uśmiechem. A jak się natrząsał w tych opowieściach nad swojemi ofiarami! Jak komicznie przedstawiał ich męczarnie przedśmiertne, zaklinania, z jakim cynizmem wyśmiewał ich słowa, ich prośbę o zmiłowanie! Gdy się słuchało tego, to nieraz robota wypadała z rąk!

„Strach mię ogarniał na samo tylko brzmienie głosu tego człowieka. A tu jeszcze miejsce na tapczanie akurat obok niego."

*) W więzieniu aleksandrowskiem.

warszawskiej „na eksport" do Cesarstwa byłoby szkodą ekonomiczną dla Królestwa Polskiego. Już dawniej dało się spostrzegać znamienne zjawisko, że fachowcy zdolni, czuwający nad rozwojem różnych gałęzi produkcyi u nas, otrzymawszy oferty korzystne z Cesarstwa, chętnie opuszczali swe posady i jechali tam, ażeby objąć naczelne i zupełnie niezależne stanowiska. Tym sposobem kraj, stojący pod względem techniki przemysłowej i kultury ogólnej na znacznie wyższym poziomie, ogałacał się stopniowo z sił najzdolniejszych. Dziwić się tedy nie można, że i dziś z planem politechniki zrasta się życzenie, ażeby jej wychowańcy, jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej w przeważnej liczbie, pozostali na miejscu w kraju.

Samo atoli życzenie pozostanie tylko czczem, jeżeli program politechniki i jej środki naukowe nie będą ściśle zastosowane do dostatecznie ocenionych i uświadomionych potrzeb kraju w tej mierze.

Nam tu wszakże nie chodzi o interes pewnej warstwy ludzi— przemysłowców, o środki dla wzmożenia ich siły i dochodów, lecz o dobrobyt ogólny ludności całego kraju, o wytworzenie nowych, nieznanych dotąd u nas dziedzin, a zależnych prawie jedynie od pracy odpowiedniej grupy specyalistów. Tam, gdzie jakość produkcyi stoi znacznie wyżej, niż u nas, gdzie różnorodność i pola pracy są większe, tam i płaca specyalistów oraz wogóle ludności robotniczej jest wyższa, niżeli u nas. A więc politechnika, odpowiadająca w całej rozciągłości potrzebom przemysłu naszego kraju, może się stać z czasem tym ważnym czynnikiem, rozszerzającym pola pracy produkcyjnej, intenzywnej i zyskownej.

Oczywiście politechnika sama przez się nie może wystarczyć. Musi ona mieć wielki szereg szkół średnich i niższych, pomocniczych.

Pozostaje jeszcze jedna niezmiernie ważna kwestya: siły profesorskie. Czy znajdą się one na razie w całej świetności? Z góry można powiedzieć, że nie. Trzeba będzie zdobywać je powoli, mozolnie, trzeba będzie szukać ludzi bardzo zdolnych i pożytecznych, którzy nie uważaliby katedry w politechnice za okres przejściowy swej kariery, dochodzącej zwykle do szczytu świetności w stolicach. To też nie należy się łudzić, że politechnika nasza będzie odrazu świetnym i pierwszorzędnym zakładem. Na to nie dość miliona, a nawet dwu milionów. Do tego trzeba dążyć stopniowo przez pewien szereg lat. Pomimo to wszakże chwilę otwarcia politechniki u nas można będzie nazwać epoką w naszem życiu społecznem i ekonomicznem.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Usposobienie rządu pruskiego względem ludności polskiej. — Rozprawy w sejmie pruskim. — Ucisk i prowokacya. — Zmarnowane wysiłki — Słowa a czyny. — Komisya kolonizacyjna. — Ograniczenie napływu robotników z Królestwa Polskiego i protesty rolników niemieckich. — Związek towarzystw przemysłowych. — Towarzystwo pomocy naukowej. — Tow. czytelni ludowych.

Takie jest usposobienie rządu pruskiego względem ludności polskiej, jej położenia i praw i jak ten rząd silnie jest zsolidaryzowany z organizacyą hakatyzmu, wybornie dowiodły jeszcze raz ostatnie rozprawy w sejmie pruskim. Poseł Schroederer poruszył tam kwestyę stałego uszczuplania swobód obywatelskich ludności polskiej, szczególnie za pomocą krępowania zebrań i stowarzyszeń. Rozwiązywanie i zakazywanie najniewinniejszych zebrań dlatego, że używano na nich języka polskiego, jest czynnikiem nieustannego jątrzenia namiętności i podsycania nienawiści plemiennych. Na odparcie zarzutów Schroederera, podsekretarz stanu Braunbehrens odpowiedział szeregiem przeoczeń, opartych na bezczelnie udanej naiwności i niewiadomości. Jeszcze charakterystyczniejsze, a nawet — cyniczniejsze było wystąpienie ministra spraw wewnętrznych, r. d. Reckego: „Ciągłe powtarzanie podobnych wywodów — mówił on — nie czyni ich słuszniejszymi i uzasadnionymi. Przeciw tym zarzutom muszę zaprotestować jak najmocniej. Nie udowodniliście panowie, że rząd nie przestrzega ściśle praw względem ludności polskiej. Twierdzicie ciągle, że jesteście prowokowani. Ale czyż mogła być większa prowokacya, niż mowa posła Schroederera? Była ona wybornym dowodem, że to właśnie Polacy dopuszczają się prowokacyi. Wypieracie się ciągle agitacyi wielkopolskiej. Tymczasem mogę wam przedstawić wyroki sądów, w których wyraźnie stwierdzono istnienie takich dążności w różnych miejscowych towarzystwach polskich. Orzeczenie bytomskiej izby karnej o „Sokole" tamtejszym wybornym jest dowodem. Panowie twierdzicie, że rząd wytwarza niezadowolenie i niechęć ludności polskiej. Przeciwnie — faktem jest, że agitacya wielkopolska i polskie towarzystwa sokolskie zniewoliły rząd do przedsięwzięcia znanych środków. Panowie z frakcyi są na niebezpiecznej drodze. Brak dowodów usiłują zwykle zamaskować w ten sposób, że przedstawiają się jako uciśnieni, gdy tymczasem jest rzeczą pewną, że Polacy są stroną prowokującą. W Poznańskiem i Prusiech zachodnich dawno już o tem sąd stał, wyrobiono. Otóż radzę panom, ażebyście zaniechali drogi obranej, gdyż łatwo przekonacie się z własną szkodą, jak to jest niebezpiecznie igrać z ogniem."

Przeciw temu wystąpieniu ministra, przyjętemu oklaskami hakatystów, protestował poseł Schroederer, protestował również poseł Leon Czarliński. Ale cóż te protesty znaczą wobec stale obranego programu, który jest procederem zyskownym dla rzezimieszków - hakatystów?

„On spał z brzegu, a ja tuż obok. Budzę się raz od silnego wstrząśnienia, patrzę— lampa była akurat koło naszych miejsc — stoi Smirnow przy tapczanie. Twarz biała, jak kredą wymazana, oczy straszne, szeroko otwarte. Przerażenie na twarzy."

„Nie zbliżaj się — mówi — nie zbliżaj się... zabiję .. nie zbliżaj się..." Drży cały, a głos taki, że strach słuchać. Przeraziłem się. „Smirnow — mówię— co ci jest? Z kim rozmawiasz?" — „Oto on—woła— oto on... cały w krwi... z gardła płynie... Z gardła bucha .. idzie, idzie... tutaj idzie. Nie zbliżaj się!"— Uchwycił mię, trzyma; ręce zimne jak lód. Zęby mu dzwonią, a mnie także febra porwała. „Bóg z tobą! Kogo widzisz?"— „On, on, mój ostatni!"— wyszeptał. — „Uspokój się, ja ci wody przyniosę!" — „Nie, nie, nie chodź .. nie chodź... Bo on... on..." Musiałem razem z nim iść do beczki z wodą. Trzyma się mnie, dokoła spogląda dziko, boi się o jeden krok odejść. Dałem mu wody—przyszedł do siebie. Prosił, ażebym go puścił na swoje miejsce; bał się leżeć z brzegu; ja zaś położyłem się nieopodal. „Strasznie mi" — mówi. „A pocóż w dzień śmiejesz się z nich?" — pytam. „Dlatego właśnie śmieję się, że strasznie. Przychodzą oni do mnie w nocy, więc w dzień staram się nabrać odwagi..."

Przechwałki w opowiadaniu o zbrodniach — to często tylko krzyk, jęk rozpaczliwy, którym zbrodniarze usiłują zagłuszyć głos sumienia.

Dusza zbrodniarza — to morze, na którem nigdy niema ciszy.

Niegdyś szalała tam straszna burza. Teraz kołyszą się fale A bardzo silne falowanie często można wziąć za zupełną ciszę. Zbrodnia pozostawia niezatarty ślad, głęboką brózdę w duszy.

Oto jak mi opowiadał pewien katorżnik, skarżąc się na to, że zamknięto go na dwa tygodnie w więzieniu kajdanowem za zawieszenie robót *).

— Cóż oni? Chcą nas zabić, czy co? Zdusić jak liszkę jaką? Alboż to człowieka można zabić? Ja oto, zdaje się, zabiłem! Sam słyszałem, jak kości zatrzeszczały, gdy toporem uderzyłem po potylicy. „Nie—myślę—oprzytomnieje." Wziąłem i jeszcze głowę odrąbałem. Potoczyła się... A on ciągle żyje. Tutaj oto ze mną żyje. Ani na krok nie opuszcza mię. Sadzą mię do „szuszyłki." Myślę, jednego—a on tu ze mną, mój! „Gdybyś go nie zabijał, nie siedziałbyś teraz w tych ciemnościach najdalszych." Kładę się na „kobyłę," a on tuż przy mnie z oprawcą stoi, zęby szczerzy: „Gdybyś nie zabijał, nie leżałbyś na kobyle." Wszędzie ze mną jak cień chodzi. Żyje i dopóki ja żyję, żyć będzie, do mogiły za mną pod krzyż bezimienny pójdzie.

„Człowieka zupełnie zabić nie można."

Pozostaje mi powiedzieć jeszcze o jednym rodzaju przechwałek, bardzo upowszechnionym. Z typowym przedstawicielem tego rodzaju niebawem zapoznam czytelników.

Przychodzę do więzienia.

Patrzę, aresztanci zebrali się w jednej gromadce. W środku jakiś bajarz o czemś żywo rozprawia.

Gdy mię spostrzegł, przerwał.

— Przeszkodziłem wam? To pójdę sobie!

— Po co, panie! Co za przeszkoda! Ciągnij dalej. Pan także posłucha... Bardzo ciekawe

Gawędziarz opowiadał o swojej ucieczce z więzienia.

Po krótkiej chwili lekkiego wzdragania się „dla przyzwoitości," ciągnął dalej:

— Dobrze!.. Wszczęto, mówię, alarm. Zwołano straż, całą rotę: taki aresztant zbiegł! Gonią, a ja uciekam! Bagnety błyszczą, kule gwiżdżą. Nad samą głową przelatują. Wkrótce przestali. Zabrakło kul. Ani jedna nie ugodziła.

— W biegu strzelali? — pyta młody chłop z szeregów „dyscyplinarnych."

— W biegu.

— Niechby się który zatrzymał. Strzelać wygodniej.

— Ciebie, durnia, nie zapytali. Szkoda! Feldwebel! — zgromił ktoś ze słuchaczów. Mów dalej!

(C. d. n.).

*) W więzieniu [illegible]rykowskiem.

Zresztą wszelkie usiłowania i dowodzenia Koła polskiego są i będą zmarnowanym wysiłkiem. Z nienawiścią i uciskiem, wynikającym z głębokich pobudek rasowych, walczyć takimi środkami niepodobna. „Dyplomacya,“ spory sejmowe itd. będą zawsze tylko wielką komedyą polityczną tam, gdzie prawem jest siła. Nasi przedstawiciele polityki w sejmie pruskim zużyli już cały arsenał środków: od pokojowych i służalczych do ostrych i namiętnych i wszystkie one pozostały bez najmniejszego wpływu. Polityka płynie osobnem łożyskiem, bardzo płytkiem, a życie — walka rasowa — osobnem, głęboko wyżłobionem w bycie narodowym. Po co więc wszelka dyplomacya misterna, po co stawianie godności narodowej na karcie gier sejmowych, kiedy zawsze można się spodziewać jedynie przegranej?

Komisya kolonizacyjna, przeciwko której zużyto miliony frazesów na posiedzeniach sejmowych, przeciwko której nawet występowała prasa liberalna niemiecka i cieszyła naszych polityków krótkowzrocznych, niezdolnych do dostrzeżenia istotnych pobudek tej krytyki — komisya ta z nieubłaganą brutalnością rozwija nieustannie swój program i wzmocniwszy fundusze nowym zasiłkiem stumilionowym, kreśli plan wielkiego zamachu na ziemię polską. Najpierw postanowiła ona nabywać majątki od Niemców. Zaczęła od Nowej Wsi p. Flechtnera (pow. Wrzesiński). Następnie nabyła Księżno od p. Berndto (1,285 mórg, pow. Wrzesiński) i Błędno (3,000 m., pow. Chełmiński — Prusy Zachodnie). Podobno komisya zamierza rozwinąć bardzo gorączkową i energiczną działalność. O ile wszakże będzie ona skuteczniejszą od pierwszej fazy, przyszłość pokaże. Zdaje się atoli, iż nowe sumy staną się rybami w mętnej wodzie, do której swoje sieci bardzo chętnie zapuszczą łupiezcy, przykrywający się płaszczykiem patryotyzmu. Po latach wielu rząd pruski da swojemu społeczeństwu garstkę osadników, niezadowolonych z własnego położenia.

Do walk z żywiołem polskim zaliczyć należy ograniczenie napływu robotników polskich. Na tak zwanem „plenarnem“ posiedzeniu wschodnio-pruskiej izby agronomicznej poruszono sprawę pracy robotników z Królestwa na kresach niemieckich. Rząd pruski oszańcowywa się od tych mas coraz grubszym murem, pomimo silnego protestu rolników, dla których takie czyny „patryotyczne“ są pomiekąd ruiną, gdyż odbierają im tanie i dobre siły robocze. Jeden z interesowanych (p. Oertzen z Schmackwalde), chcąc osłabić te przeszkody, w okropnych barwach naszkicował położenie rolników i niejako zespolił ich losy z bytem ludności robotniczej polskiej, wędrującej do państwa niemieckiego na zarobki. Usiłuje on przekonać „patryotów,“ że prowincyi wschodnio-pruskiej wcale nie grozi polonizacya. Mowy o tem być nie może, gdyż „robotnicy polscy to prawie nieludzkie istoty. Jak zwierzęta rzucają się na konwie z mlekiem, gardząc łyżką i kubkiem.“ Pomimo tej „zwierzęcości“ i „upośledzenia“ są oni conną siłą roboczą, więc nie odstręczać, lecz raczej ściągać ją należy. Trzeba tedy, „ażeby rząd ulitował się nad biednymi rolnikami i nie puszczał ich skarg mimo uszu. Inni popierają to zdanie i twierdzą, że brak robotnika jest dla rolnictwa cięższą klęską, niżeli niskie ceny zboża. Między innymi p. Jungschulz podał wniosek, ażeby wystosować do rządu podanie zbiorowe o dopuszczenie nietylko kawalerów, lecz i robotników żonatych z Królestwa Polskiego do prowincyi wschodnio-pruskiej. Przeciw temu atoli wystąpił bardzo gorąco naczelny prezes Prus Wschodnich, hr. Wilhelm Bismarck. „Nie przyłożę nigdy ręki do polonizacyi prowincyi i mam nadzieję, iż rząd poprze moje zapatrywania. Z Królestwa Polskiego wolno ściągać robotników, ale w rozmiarach niezagrażających interesom państwa. Na tem poprzestać należy.“ P. Bismarck protestuje głównie przeciwko dopuszczeniu całych rodzin z Królestwa, gdyż stąd wyniknąć mogą „poważne ciężary dla opieki nad ubogimi“ (miłosierni!). „Pomyślcie tylko — woła obłudny filantrop-dygnitarz — taki chłop sprowadzony pójdzie sobie w świat i zostawi rodzinę na łasce bożej. Co my z nią poczniemy? Stanie się ona ciężarem gminy, bo legitymacye tej kategoryi robotników są zwykle w nieporządku, władza zaś rosyjska rozciąga tu właśnie bardzo surową kontrolę. Oddalą babę z dziećmi na komorze, a ty, biedny Prusaku (!!) utrzymuj, chcąc nie chcąc, cudzoziemców.“ Przedewszystkiem atoli chodzi p. Bismarckowi o polonizacyę Prus Wschodnich. Widzi on w tem wielkie niebezpieczeństwo, które rząd zrozumiał należycie i nie może ustąpić...

Na schyłku zimy odbywają się zwykle zebrania roczne różnych instytucyj społecznych i ekonomicznych. Sumując swoją działalność, zdają one przed ogółem sprawę z owoców pracy, nie zawsze jednak całkowicie zadawalających. Dotychczas jeszcze nie ogłoszono sprawozdań drukowanych, więc poprzestaniemy teraz na ogólnym zarysie działalności niektórych tylko wybitniejszych instytucyj. Przed kilku tygodniami odbył się w Poznaniu zjazd delegatów Związku towarzystw przemysłowych, instytucyi jeszcze młodej. Zadaniem jej jest dawać „rady i wskazówki co do kierunku licznym stowarzyszeniom przemysłowym w kraju. Nadto związek zakłada spółki zawodowe wydawnictw dzieł fachowych, urządza biura informacyjne, wystawy, zasila towarzystwa prowincyonalne prelegentami, dostarcza pomocy uczniom i czeladzi podczas nauki i wędrówki, zakłada wreszcie nowe towarzystwa przemysłowe.

Dotąd wszakże z tego szerokiego programu zrobiono niewiele — z braku funduszów i szczerego poparcia. Mało też jeszcze stowarzyszeń przystąpiło do związku. Tylko w sprawie kształcenia fachowców zrobiono stosunkowo najwięcej. Ale i to jeszcze owoce zbyt mizerne. Tak niezbędnej rzeczy, jak biuro informacyjne, nie zdolano dotąd urządzić. Wzorowych warsztatów dla terminatorów również nie potrafiono wynaleźć.

Towarzystwo pomocy naukowej, w którego skład wchodzi dużo księży, na zebraniu dorocznem wykazało swój stan w cyfrach następujących: Dochód ze składek przyniósł w roku ubiegłym 24,586 marek (prawie o 700 więcej, niż w r. 1896). Na stypendystów wydano 57,589 m. (o 3,769 więcej, niż w r. 1896), mianowicie: na akademików 18,000 m., na techników, aptekarzy i zawody praktyczne 21,997 m., na uczniów gimnazyów i szkół średnich 17,525 m. Pod naciskiem opinii publicznej, ażeby popierano przedewszystkiem zawody praktyczne, rozwinięto usilniejszą działalność w tym zakresie. Oto wykaz tego rodzaju pomocy: W roku ubiegłym Towarzystwo dało stypendya: w Berlinie 2 miernikom, 1 weterynarzowi, 1 malarzowi; w Charlottenburgu 14 w głównej szkole technicznej, 1 szkole budowniczej; w Cöthen 3 w szkole technicznej werkmajstrów; w Darmsztadzie 1 w szkole głównej technicznej; w Flensburgu 1 w szkole artystyczno-przemysłowej stolarstwa; w Hildesburghausen 2 w szkole technicznej; w Ilmenau 3 w szkole elektrotechnicznej; w Inowrocławiu 1 w nauce kupiectwa; w Karlsruhe 3 w głównej szkole technicznej; w Küstritz 1 w szkole ogrodnictwa; w Monachium 2 w szkole malarstwa; w Mittweidzie 1 w szkole technicznej; w Paryżu 1 w szkole głównej nauk przyrodniczych; w Poznaniu 18 w szkole budowniczej, 1 przy warsztatach kolejowych, 1 w handlu, 2 w praktyce sądowej, 1 w nauce ogrodnictwa; w Regensburgu 1 w nauce organistowstwa, w Stutgardzie 2 w głównej szkole politechnicznej; w Tarandzie 1 w akademii leśniczych; w wiedniu 1 architektowi; w Zurichu 1 w głównej szkole technicznej.

Towarzystwo tedy, względnie do swoich sił i środków, robi co może. Pewna część opinii publicznej za niewłaściwe uważa tylko nacisk instytucyi na byłych stypendystów, ażeby odczuli obowiązek zwrotu pobieranych zapomóg. Takich warunków nie wymaga żadna instytucya pomocy naukowej. Ale z drugiej znowu strony Towarzystwu im. Marcinkowskiego nie należy tego uważać zupełnie za naganne. Ludzie, którzy korzystali w okresie kształcenia się z zapomóg, a następnie zajęli wybitne i intratne stanowiska, powinni sami poczuwać się do obowiązku popierania swojej opiekunki społecznej. Niestety, w bardzo wielu wypadkach byli stypendyści różnych instytucyj, nawet zamożni, lekceważą takie ważne obowiązki. Przypominać o nich — byłoby smutną ostatecznością. Otóż do pewnego stopnia nie nacisk, lecz zastrzeżenie, że po zdobyciu wygodnej placówki należy pamiętać o instytucyi — byłoby całkiem właściwe. Niech w umysłach tych jednostek, które w swych charakterach mają zarodki karyerowiczowstwa, to zastrzeżenie utkwi głęboko. Może z czasem wywoła ono chociaż odruchowy czyn — poparcie w jakikolwiek sposób instytucyi wielce pożytecznej dla kraju. Niech przedewszystkiem wszyscy stypendyści uważają za obowiązek zapisać się w przyszłości na listę członków Towarzystwa pomocy naukowej.

Pozostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć o Towarzystwie czytelni ludowych, które ogłosiło 27 z kolei sprawozdanie. Dowiadujemy się z niego, że rok ubiegły nie należał do pomyślnych. Z braku fuduszów musiano na pół roku zawiesić wszelkie czynności, ażeby najpierw pozbyć się długów. Rozdano wszakże w ciągu roku 24,807 książek. Nowych czytelni założono 49. Jaka taka działalność ustałaby zupełnie, gdyby nie dary w książkach od różnych osób. Wpływy były następujące: Składki roczne 5,075,16 marek; dochód nadzwyczajny 3,760,30 m., razem 8,835,46 m. Rozchód: zakupno książek 4,117,65 m., oprawa 2,885,10, koszty biurowe 1,457,06, zwrot pożyczki do funduszu dr. Jerzykowskiego 370 m.; razem 8,829,81 m. Długi 5,187,28 m.

et.

TORTURY HISZPANII WSPÓŁCZESNEJ.

Manifestacyę okazałą urządzono w Barcelonie w połowie lutego 1898 r. Dziesięć tysięcy osób pod trzydziestu chorągwiami i sztandarami, wyszedłszy z teatru Tivoli, udało się do burmistrza i wręczyło mu prośbę o wytoczenie śledztwa co do użycia tortur w więzieniu Montjuich i gdzieindziej. Następnie złożono dwie prośby o poparcie w konsulatach: angielskim i francuskim.

Od pięciu miesięcy już powtarzają się te żądania; po zgonie Canovasa elementy uczciwsze, odetchnąwszy nieco, zabrały się żywo do wyświetlenia owej bolesnej sprawy. Nie należy ona zresztą dla nikogo w Hiszpanii, ani nawet na Zachodzie do tajemnic; pisma drukowały listy torturowanych; w Anglii, Francyi, Holandyi i Belgii odbyło się w ostatnich dwóch latach kilkadziesiąt zebrań, protestujących przeciw temu shańbieniu dziewiętnastego wieku. W Austryi sędziwy Fryderyk Spielhagen umieścił w *Neues Wiener Tag-*

blatt rozchwytywany artykuł: „Nie będziesz dręczył!“ Tylko Sagasta wzbrania się potępić niecny postępek swego poprzednika.

Na drogę mistrzów inkwizycyi wszedł Canovas jeszcze w roku 1892. Wybuchły wówczas zaburzenia rolne w Andaluzyi. Odpokutowało je czterech włościan rozstrzelaniem, wielu innych — srogiemi karami.

Co tu chcemy wyróżnić, to męczarnie, na jakie brano podsądnych. Jeden z rozstrzelanych, Zarzuela, napiętnował je publicznie przed zgonem. Nazajutrz, po wykonaniu wyroku, piąty wieśniak, Caro, umarł wskutek tortur. Obecnie Tarrido del Marmol w świeżo ogłoszonem dziele „Inkwizytorzy hiszpańscy“ (Les inquisiteurs d'Espagne. Paryż, 1898) ogłasza list dwudziestoczteroletniego fryzyera, Lameli, rozstrzelanego. Pisze on na dwa tygodnie przed śmiercią:

„Dwudziestego drugiego stycznia mnie i mego towarzysza, Diaza, zaprowadzono do koszar. Rozłączono nas i w kilka chwil potem usłyszałem przerażające krzyki nieszczęsnego Diaza. Za dziesięć minut wprowadzono mię do izby, którą nieszczęsny opuścił. Tu jeden z sędziów obiwszy mię, kazał mi złożyć zeznania zupełnie fałszywe. Gdy odmówiłem, zawieszono mię u powały i bito rózgami, aż straciłem przytomność.“

Na zamieszkach andaluzyjskich nie skończyły się rozruchy w Hiszpanii. Nastąpiło kilka zamachów i więzienia przepełniły się. Pomijam znowu bliższe szczegóły, idzie mi tylko o dostarczenie dowodów, iż reakcya hiszpańska drwiła z wszystkich zdobyczy humanitarnych nowożytnego prawa.

W r. 1893 uwięziono między innymi niejakiego Cerezuelę i wzięto go na tortury. Przytaczam opis. Przed zgonem zdołał Cerezuela wysłać do republikańskiego dziennika *El Pais* w Madrycie następujący list:

„Dwudziestego grudnia 1893 r. o drugiej z rana, dwaj żandarmi i oficer przyszli po mnie do więzienia i zawiedli skrępowanego nad morze. Nabiwszy strzelby, zagrozili mi rozstrzelaniem, jeśli nie powiem wszystkiego, co zechce oficer. Odmówiłem; wówczas zdarto ze mnie dolne ubranie i poczęto mi miażdżyć organy płciowe. Szalony z bólu zdołałem rzucić się do morza, ale mię wyłowiono i zaprowadzono do prefektury. Przez pięć dni i sześć nocy zmuszano mię biciem do chodzenia bez przerwy. Jedyny pokarm stanowił chleb i suchy śledź bez kropli wody. Wieszano mię także całemi godzinami u drzwi mej kaźni i powtarzano kilkakrotnie katusze części płciowych. Nareszcie powiedziałem, co tylko chcieli i w chwili słabości podpisałem swe oświadczenie.“

Tak inkwizytorzy niegdyś przychodzili do zeznań. A ktoby myślał, że nakaz chodzenia bez odpoczynku i niedopuszczania do snu nie stanowił jednego z ich najulubieńszych specyałów, temu przytoczę wyjątek z historyi procesów o czary we Francyi *).

„Przyszedł do nas z Włoch — pisze jeden z ówczesnych kanoników — wynalazek jeszcze szczęśliwszy. Marsile wymyślił łagodny sposób zmuszania do wyznań wszelkiego rodzaju oskarżonych, nie łamiąc im rąk, ni nóg. Kazał siadać podsądnemu na ławce między dwoma oprawcami, którzy nie dawali mu spać dniem i nocą. Gdy byli znużeni, gdy sami zasypiali, zastępowali ich inni. Trwało to dwie noce i jeden dzień. Skoro więzień upadał ze snu i chciał oprzeć się o jednego z katów, ci wyprostowywali go potężnemi uderzeniami w głowę. Nie było siły charakteru, któraby oparła się temu łagodnemu środkowi i poddani mu oskarżeni wyznawali wszystko, czego od nich wymagano.

Natomiast w Anglii Maciej Hopteins, wielki sędzia czarowników, kazał chodzić więźniom, póki skóra stóp nie była starta. Cierpienie było takiem, że tarzali się po ziemi na pół obłąkani.“

Najhaniebniejszem atoli było postępowanie w czasie procesu z 1896 r., znanego pod nazwą procesu z Montjuich. W dzień Bożego Ciała nie wiadomo kto rzucił dwa pociski wybuchowe na procesyę. Był to czyn nienawiści antyklerykalnej—sprawcy dotąd nie znaleziono. Jak zapewnia *Libre Parole*, zwykle doskonale poinformowana o sprawach hiszpańskich, przebywa on za granicą; w każdym razie z pięciu rozstrzelanych w maju 1897 r., żadon nie zostawał z nim w stosunkach. Ascheri wziął na siebie winę, ale jak wyznał na sądzie, wskutek tortur.

Znowu Tarrida del Marmol przytacza list jednego z dręczonych wówczas, Molasa:

„Oto opis moich tortur:

Szóstego sierpnia 1896 r., o trzy kwadranse na dziesiątą rano, strażnik Mayans zakuł mię i kazał mi stąpać szybkim krokiem aż do następnego dnia, do czwartej po południu.

O tej godzinie nie mogłem nogą ruszyć. Wówczas strażnik Parrillas wszedł do celi z biczem w ręku i uderzył mię więcej, niż dwadzieścia razy rękojeścią. O dziewiątej wieczorem Carreras odnowił bicie, zwiększając dawkę. Usiłowałem zabić się, uderzając głową o kamienną krawędź okna i padłem zlany krwią. Na moje wołania: „mordercy! mordercy!“ przybył oficer Portas z ośmiu strażnikami. Zapytał mię, co znaczą te krzyki; odpowiedziałem. Na to oprawcy wyliczyli mi więcej, niż sto bykowców, nie patrząc, gdzie biją.

Gdy leżałem na ziemi, Mayans zakneblował mi usta, bijąc pięścią po twarzy, aby otworzyć mi zwarte szczęki; potem pchnął moją głową o mur, aż mię krew oblała. Chcieli, abym chodził, a że nie mogłem, Parrillas bił mię.

Ósmego sierpnia znowu chłosta, dziewiątego kneblowanie. Trzynastego Parrillas tak mię skatował, że padłem bez życia. Czternastego nie bili mię, a piętnastego Mayans bez kija zawiódł mię przed Portasa. Ten rzekł: „Jeśli chcesz, aby twoje cierpienia ustały i aby ci dano jeść, podpisz to oświadczenie.“ I zredagował cyrograf. Widząc, że co pisze, nie zgadza się z prawdą, zaprotestowałem, ale podpisałem z warunkiem, iż w obecności sędziego...

Sędzia zapytał mię, czy mam co dodać. Odpowiedziałem, że wszystko, co podpisałem, było fałszywe. Wówczas Parrillas kazał mię znowu torturować. Mogę oświadczyć, iż przeszedłem przez piekło. Spędziłem dziewięć dni i dziewięć nocy nie biorąc pokarmu, nie pijąc, zawsze chodząc i nie śpiąc—cały we krwi, z dziesięciu ranami w głowie i ciałem sinem od razów. To opowiadanie jest bardzo krótkie, bo potrzebowałbym bardzo wiele papieru, aby je rozwinąć, jak należy.

Strażnicy, którzy mię dręczyli z największą zajadłością, Mayans, zarówno jak Estoropi, są udekorowani za znęcanie się nad ofiarami procesu Liceo; przynosi im to miesięcznie pięć franków.

Ja, ofiara,

Józef Molas.“

Gdyby nie brak miejsca, przytoczyłbym list szesnastoletniego Jana B. Olle. Od ósmej wieczorem czwartego sierpnia kazano mu chodzić przez trzydzieści siedem godzin, nie dając nic prócz suchego stokfisza. Poczem, gdy odmówił podsuwanych zeznań, okrutna chłosta i rozkaz chodzenia dniem i nocą, popierany za każdem zatrzymaniem się kańczukiem i pięścią. Trwało to do nocy ósmego sierpnia.

„Paliło mię szalone pragnienie i wosłabieniu przywidywały mi się rozmaite mary. Padałem co chwila i uderzałom głową o mur. Próbowałem otruć się, jadłem piasek, wapno ze ściany, piłem olej lampy, ale nie zdołałem tem zabić się. Nareszcie kaci zostawili mię. Mimo wszystko nie mogłem pierwszej nocy oka zmrużyć z powodu okropnych krzyków, jakie słyszałem.

Nazajutrz wieczorem Portas wszedł i rzekł mi, że myślał o pewnej rzeczy, ale widzi, że się mylił; że gdy będę na wolności, nie powinienem nic mówić o tem, czego doznałem.“

To zalecanie powtórzyło się z wszystkimi torturowanymi. Odmówili.

W dzień sądu jurysdykcya hiszpańska otrzymała straszny policzek.

Pierwszy Nogues oświadczył, że wszystko, co zeznał poprzednio przeciw sobie i towarzyszom, jest zupełnie fałszywe, bo wszystkie zeznania były wymuszone torturami.

Callis, Molas, Sunyer oświadczyli to samo. A Moré podał się za sprawcę zamachu pod wpływem najokrutniejszych męczarni.

Popołudnie obfitowało w przerażające zeznania.

Molas, ledwie wprowadzony, powtórzył ranne oświadczenie. Prezydent chciał mu odebrać głos. Ale Molas wyraził się tak energicznie, że jeden z członków trybunału powstał i zwracając się do prezydenta, zawołał: Panie prezydencie, potrzeba dać wolność mówienia podsądnemu, bo ma do tego prawo.

Wtedy Molas opowiedział swe męczeństwo. W sali panowało grobowe milczenie. Opowiadanie, nacechowane niezaprzeczoną szczerością, wywarło ogromne wrażenie. Współwinny Portasa, sędzia Marro, zbladł, jak ściana. Zagrożono już przedtem Molasowi torturami, jeśli wyzna, co cierpiał.

Nogues mówił trybunałowi, że po czterech miesiącach więzienia nosi jeszcze na biodrach ślady żelaza, którem go palono. Dodaje, że przez tydzień nie spał, ani nie jadł; że wyrywano mu paznokcie, że bito niezliczoną ilość razy, że nakładano mu kaganiec i ściskano organy płciowe struną z gitary.

Mas następuje po Noguesie.

Ten oszalał. Nie mógł wytrzymać katuszy. A były one oparte na najnowszych wynalazkach.

Pozbawił go władz umysłowych hełm elektryczny. „Głowę ofiary otacza aparat metalowy, połączony ze stosem elektrycznym. Potem puszcza się prąd, niedostateczny, aby zabić, ale dość silny, aby straszliwie dręczyć. Nieszczęsny, którego ciało oprze się, wyjdzie z męczarń ze złamanym na zawsze duchem.“

Przyrząd, stosowany do Callisa, wart także wzmianki.

Jest to przyłbica żelazna, mająca z tyłu szrubę, do której są przymocowane inne części, poruszane razem korbą. Jedna z nich chwyta i ciągnie gwałtownie górną wargę, okrywa nią nos i napina ją, póki nie pęknie mięso dziąseł. Druga chwyta w tymże celu wargę dolną. Równocześnie dwie ściskają strasznie skronie. Jest to powolne miażdżenie głowy.

Murarzowi Ganie, który oparł się najsroższym katuszom, ściskano nogi i ręce szrubami, a z palców wyrywano paznokcie.

Okropne! I te haniebne czyny zostały dokonane w więcej, niż sto lat potem, jak twórca nowożytnego prawa karnego, Beccaria, pisał:

„Czy godzi się, aby męczarnie, mogące wylęgnąć się tylko w barbarzyńskiej wyobraźni, były prawidłami dla tych, na

*) F. Delacroix: *Les proces de sorcellerie au XVII siecle.* Paryż, 1896, str. 284—285.

których szali stanowi się o losach i życiu ludzkiem i którzy winni sami drżąc wypełniać urząd im polecony?"

W więcej, niż sto lat potem! Tak, gdyby ludzkość współczesna coraz widoczniej nie cofała się ku barbarzyństwu!

Włodzimierz Bugiel.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rozmyślania etyczne.

Nie będę długo dowodził, że czystość atmosfery moralnej jest potrzebna dla zdrowia każdego narodu. Nie zastąpi jej ani bogata literatura, ani dobrobyt, ani potęga militarna, jak żaden pierwiastek w powietrzu nie zastąpi tlenu. Gromada dwunożnych wieprzów lub drapieżców może sobie drwić z etyki, może się nawet bez niej obchodzić, może uważać cnotę za mizerny i zużyty przymiot obłudników lub korektorów obyczajowych, którzy już stracili zdolność grzeszenia, ale jeżeli nie sami oni, to ich potomkowie przekonają się niezawodnie, że lekceważony przez nich kopciuszek godzien jest ołtarza i tronu. Nemezys mści się za wiele przewinień, ale w żadnym innym wypadku nie karze ona ludzi srożej, niż wtedy, kiedy przychodzi policzyć się z nimi za poniewierkę moralności. O tem wiedzieć i pamiętać powinien każdy naród, chociażby nawet zdawało mu się, że jest ze wszystkich najbliższym bogów.

W prasie i literaturze naszej zagadnienia naukowe, estetyczne, ekonomiczne i polityczne są częściej przedmiotem rozważań, niż etyczne, jak wogóle my więcej myślimy o zbytku, niż o zwyczajnej potrzebie. Dzięki temu daleko wprawniej sądzimy o teoryi przerództwa, impresyonizmie lub dążeniach kolonialnych Anglii, niż o prawości charakteru. Jak lord Salisbury powinien zachować się wobec niemieckich zamachów na Chiny— jest dla nas pytaniem dość łatwem; ale jak powinien zachować się uczciwy człowiek wobec zdziercy lub oszusta — to bywa nieraz bardzo trudnem. Zarówno też w życiu, jak w literaturze panuje u nas gęsta mgła etyczna, w której nie rozróżniamy dokładnie ani rzeczy, ani osób i potrącamy się lub rozbijamy wzajemnie. Śród tej mgły łotr się przemyka swobodnie, a ludzie zacni wybijają sobie guzy.

Byłoby to dowodem najwyższego rozwoju obyczajowego, gdyby wszelka norma postępowania tak wryła się w sumienie każdej jednostki społecznej, że nikt nie potrzebowałby szukać wyroków po za sobą, lecz miał trybunał w sobie. Do takiej wszakże doskonałości nie doszło żadne społeczeństwo i wszystkie posiadają odpowiednie organy, mniej lub więcej stałe, mniej lub więcej uorganizowane, które nakładają ludziom powinności i określają ich wzajemne prawa. Do takich instancyj należą zarówno regulatory t. zw. opinii publicznej, jak sądy. Jeżeli zaś nie zgodzilibyśmy się, ażeby te ostatnie zeszły ze swego stanowiska powszechnie obowiązującego i zamieniły się na prywatne, dowolnie i przypadkowo tworzone rozjemstwa — czyli mówiąc wyraźniej — jeżeli nie chcielibyśmy, ażeby np. nasz przeciwnik w jakimkolwiek sporze cywilnym lub karnym mógł go poddać ostatecznemu rozstrzygnięciu paru swoich znajomych, to również nie jest dla nas pożądanem, ażeby ocena naszych czynów zależała od wyroku pierwszej lepszej jednostki, która sama się upoważni lub przez kogoś będzie upoważniona do oznaczenia wartości naszego charakteru. Żyjąc w społeczeństwie, pragniemy być zabezpieczeni od wszelkich dowolności i zostawać pod opieką praw — skodyfikowanych i moralnych. Jest to zaiste objawem dziwnym, że tylko pewne instytucye państwowe mogą orzec, czy mam komuś oddać szeląg lub kwartę mąki; tymczasem w sprawie daleko ważniejszej, czy jestem uczciwy lub nieuczciwy — wolno decydować i głosić najgorszym nieponiom. Nietylko osobniki, posiadające w swych zasadach i uczuciach sprawiedliwe probierze etyczne, ale każdy nosi z sobą składany fotel sędziowski, na którym zasiada w szynku, knajpie, domu prywatnym, zakładzie publicznym, gdziekolwiek i bez badania wydaje wyrok najbardziej potępiający o ludziach, których nawet zrozumieć nie może.

Najulubieńszem i najczęściej nadużywanem miejscem takich doraźnych, prawdziwie polowych sądów jest prasa. W niej oskarża się, piętnuje, wiesza lub ścina głowy z takim rozmachem i brakiem wszelkich skrupułów, jak gdyby cześć ludzka była przedmiotem mniejszej wagi, niż szeląg lub kwarta mąki. Zamianować kogoś złodziejem, demoralizatorem, szkodnikiem niezasługującym na żadną pobłażliwość, patentowanym łotrem — jest czynnością prostszą, zwyklejszą, wymagającą mniejszego namysłu, niż strzelić do psa włóczącego się po polu za zwierzyną. Fakt to zdumiewający, że właśnie owa prasa, która ze swej natury i zadań trudni się głównie porządkowaniem stosunków ludzkich i wynajdywaniem dla nich norm prawidłowych, sama obywa się bez nich i żyje w zupełnem rozprzężeniu moralnem. Będzie ona bardzo gorliwie nakłaniać i szczegółowo uczyć wszystkie stany, jak mają się organizować, ale nie znosi żadnego ustroju. Zdawałoby się np., że ona przedewszystkiem podda swe obyczaje, postępki, zatargi, obowiązki pod jakąś straż, kontrolę, trybunał. Bynajmniej. Jest to ciągle trafem spędzona i w pewnym obrębie zamknięta gromada stworzeń, które się gryzą, bodą, liżą według chwilowego upodobania. Nie wiąże ich żadna etyka, żadna nawet bodaj słabo szanowana opinia. Jeśli Paweł napadnie Gawła, zbezcześci go, skrzywdzi, sponiewiera, to inni będą tak obojętnie patrzyli na ten rozbój, jak dęby w lesie, gdy jeden z nich ścinają lub odzierają z kory. Ktoś ogłoszony za zupełnego niegodziwca w jednem piśmie, znajduje uznanie, szacunek i wawrzyny w drugiem, jak gdyby go nawet ostry wiatr nie musnął. Nagany i pochwały literatów względem siebie są czemś, co się nie ima, nie przylega, co szybko spływa strumieniem błota lub oliwy. Czy kogoś oskalpowano, czy ukoronowano—to nie ma prawie żadnego wpływu na jego znaczenie, jak odrażająca lub przyjemna woń, która go chwilowo owiała. Przez jeden dzień trwają takie lub inne wrażenia, ale już nazajutrz nikt nie pamięta, że wczoraj postawiono go pod pręgierzem lub na piedestale. Jest to może jedyny świat bez etyki, bez ściśle oznaczonych wartości, bez stałej nomenklatury moralnej, w którym dwa przeciwległe bieguny ciągle zamieniają się, w którym aniołowie mają dyabelskie pazury, a szatani — anielskie skrzydła.

Uwagi te nastręczają nam się codziennie, ale weszły mi one pod pióro z powodu nowego skandalu, który świeżo rozbrzmiał w prasie galicyjskiej i sięgnął do naszej. Znowu pokłóciło się dwóch literatów, znowu obaj wywlekli się za czuby na widownię publiczną i znowu przyjaciele jednego z nich oświadczyli publicznie, że żaden porządny człowiek nie poda drugiemu ręki „nawet w najgrubszej rękawiczce.“ Jakkolwiek jest to obelga bardzo wyraźna i — zdawałoby się — odsądzająca potępionego od wszelkiej czci i stosunków z ludźmi uczciwymi, wierzę, że ona za tydzień wywietrzeje i że nie długo te same ręce będą ściskały tego samego skazańca, którego dziś nie dotknęłyby się „nawet w najgrubszej rękawiczce.“ Nie znam ani istoty zatargu, ani wzajemnych pretensyj; nie mam przeto zamiaru oświadczać się za jedną lub drugą stroną i raczej gotów jestem przypuszczać, że cała sprawa uplotła się nie z ciężkich win, ale z dosadnych wyrazów. Podnoszę ją tylko jako wypadek przykładowy, który powinien stać się pobudką do wprowadzenia .. etyki dziennikarskiej. „Bracia po piórze“ są zbyt leniwi, niezaradni, nieufający sobie wzajemnie, więc nie mogą uorganizować sądów honorowych, któreby im zastępowały obrzucanie się wymysłami — niech tak będzie. Ale niechże przynajmniej nabiorą zwyczaju większej oględności w sądach o sobie, bo społeczeństwo wreszcie utrwali się w przekonaniu, że kierownikami jego opinii są wygadani nieponie. A gdy ono w górnych swych warstwach widzi mętną moralność, rozgrzesza wykroczenia przeciw niej w dolnych lub poddaje się zwątpieniu. Od lat wielu uderzam w ten dzwon i nie przestanę dowodzić, że nam może daleko pilniej i bardziej potrzeba czystych i dzielnych charakterów, niż wielkich umysłów i talentów, niż dostatku materyalnego i pieniędzy. Do którejkolwiek sfery zajrzeć, wszędzie znaleźć możemy naukę, sztukę, dobrobyt, a natomiast przerażający brak niezłomnych ludzi i obywateli kraju. Nasza odporność moralna jest nadzwyczajnie słaba, każda zaraza czepia się łatwo naszych serc, lada powiew zgina nas jak wątłe trzciny. Wrażliwi na artyzm, na tryumfy wiedzy, na blaski bogactwa, jesteśmy nieczuli na przymioty i wady charakterów. Przyprawiamy sobie codziennie jakąś użytkową etykę, mieszaninę najrozmaitszych pierwiastków, najgrubszego materyalizmu z najidealniejszem bohaterstwem, którą nas zatruwa i wikła w najskrajniejsze sprzeczności. Tę samą rzecz mierzymy korcem i łokciem, te same czyny raz nazywamy zasługą, a drugi raz zbrodnią, tych samych ludzi malujemy na biało i czarno — a w tworzeniu i podtrzymywaniu zamętu moralnego przewodniczy prasa — rzeczywiście myśląca, czująca i działająca „bez dogmatu,“ wytwarzająca bądź sztuczne cnoty, bądź sztuczne występki, lekkomyślna zarówno w chwalbie, jak w potępieniu, utylitarna w najgorszem znaczeniu tego wyrazu.

Nieprawda, historya nie jest dla nas „mistrzynią życia,“ nic ją również nie obchodzi wróżba przyszłości. Słuchamy tylko podszeptów chwili.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Zenon Pietkiewicz: *Szkice Społeczne*. Warszawa, str. 263. Wydawnictwo z zasiłku kasy imienia J Mianowskiego.

Czytelnikom *Prawdy* o tyle jest znane nazwisko Zenona Pietkiewicza, iż uważamy za zbyteczne rozwodzić się nad duchem, ożywiającym świeżo wydane *Szkice Społeczne*. Każdy, biorący je do ręki, z góry może być przygotowany na to, iż znajdzie w nich współczucie dla szerokich warstw ludu z chęcią rozpraszania panującej tam nędzy i ciemnoty, iż na-

potka poparcie dla wszelkich usiłowań, starających się wywalczyć dla kobiety godziwsze i bardziej ludzkie warunki bytu, że wreszcie dosłyszy za stronic książki głos sumienia społecznego. Ale *Szkice* te są szkicami, pisanymi przez publicystę. Wszystkie one w swoim czasie były drukowane; związane w całość, miejscami uzupełnione, dały początek książce. „Publicysta — pisze autor w *Przedmowie* — zaprzątnięty bieżącemi sprawami, chwyta je błyskawicznie i formułuje." Odpowiednio do wymagań życia codziennego, trzeba poddawać rozbiorowi pewną kwestyę, niekiedy podrzędną, a przytem zanadto wysuwać w niej pewne punkty, które nie zostałyby tak silnie uwydatnione, gdyby o danym przedmiocie roztrząsano w innych warunkach; trzeba nawiązywać wywody swoje do książki, która pojawiła się na półkach księgarskich i opierać je na niej, chociaż na to nie zasługuje. Są to wszystko właściwości, nieodłączne od publicystycznego rozpatrywania zagadnień życia. Odbiło się to właśnie i na książce Zenona Pietkiewicza, zwłaszcza w pierwszym szkicu, który poświęcono nędzy i miłosierdziu; mniej ważne zjawiska są tam traktowane obszerniej, a jednocześnie za mało wysunięto naprzód to, co w życiu w danym zakresie jest najdonioślejszego. Jednocześnie winniśmy tutaj zaznaczyć inną wadę książki, mianowicie użytkowanie ze źródeł, które nie zawsze zasługują na zaufanie. Tacy pisarze, jak Fawcett, zwłaszcza gdy na jego wywodach mają opierać się nasze sądy o instytucyi dobroczynności państwowej w Anglii, są bardzo nieodpowiednie. Szkoła manchesterska widziała w tem urządzeniu tylko złe strony: społeczeństwo powstrzymuje inicyatywę osobistą warstw pracujących, podnieca niezapobiegliwość i nieopatrzność itd. Dość przeczytać Spencera *Jednostkę wobec państwa*, ażeby odnaleźć tam wszystkie argumenty tego obozu, podane w formie jak najjaskrawszej. Napozór mogłoby się zdawać, iż klasa robotnicza w Anglii również podziela to niechętne usposobienie ekonomistów mieszczańskich i potępia z kretesem dobroczynność państwową. Nienawiść, istniejąca przeciw *Workhouse*'om, istotnie nie ma równej sobie, domy te nazwano Bastylią warstw pracujących. Lecz musimy zaznaczyć, iż oburzenie to wypływało z innych źródeł, posługiwało się odmiennymi argumentami, wreszcie dążyło do zgoła innych celów. Warstwa najemnicka przeklinała bezmyślne skubanie lin okrętowych lub tłuczenie kamieni na proszek, narzekała na więzienny tryb życia, ale gdyby zapytano się jej, czy przystaje na zniesienie Bastylii bez żadnego równoznacznika, pierwsza zaprotestowałaby przeciw takiemu żądaniu. Wszak były one jedynym jej przytułkiem, gdy zabrakło zarobków. Mając do wyboru pomiędzy śmiercią z głodu a torturami w *Workhouse*'ach, nie mogła się wahać ani chwili.

Wracamy jednak do książki Zenona Pietkiewicza. Zresztą wycieczka nasza tylko z pozoru jest niepotrzebną: posługiwanie się faktami, przytaczanemi przez Fawcetów, Coste'ów, może pozostawić w umyśle czytelników wrażenie, jakie napewno było obce zamiarom autora. W pracy *Szkice Społeczne* znajdujemy cztery rozprawki.

Pierwsza, *Nędza i miłosierdzie*, ma dawać obraz nędzy i żebractwa, tudzież usiłowań walki z niemi, podjętych przez warstwę mieszczańską. Autor roztacza przed nami stosunki angielskie: prawo o ubogich, skutki jego, oraz nędzę, stworzoną w krajach zamorskich; rozpatrzono mieszkania warstwy pracującej, oraz to, co zrobiono w tej mierze u nas i za granicą; przedstawiono pożywienie jej i hygienę warunków pracy; nakreślono obraz działania dobroczynności w Stanach Zjednoczonych itd. Wogóle autorowi raczej chodziło w tym szkicu o przedstawienie prób dokonanych, aniżeli o krytykę wysiłków filantropijnych.

Drugi szkic, *Hygiena i życie*, przedstawia rozterkę warunków bytu z hygieną. Autor rozpatruje skutki nierządu i choroby srożące się wśród ludności z tego powodu, rozwój alkoholizmu, hygienę pracy umysłowej. „Pocieszajmy się objawami — kończy tak autor tę rozprawkę — chociaż tej słabej walki z niedołęztwem fizycznem i wygnawszy z serca egoizm, radujmy się myślą, że z czasem antropologia odegra ważną rolę w rozwoju społecznym, że przyszłe pokolenia ujrzą ideał rasowego człowieka, wytworzonego przez uświadomioną antropotechnikę."

Najobszerniejszy ze szkiców został poświęcony sprawie niewieściej. Przedstawiono tam poglądy nauki na kobietę, zobrazowano działalność jej w życiu publicznem, warunki pracy i zarobku, przeszkody napotykane i doznawane krzywdy, dołączono kilka stronic o nienaturalności wychowania dzisiejszego dziewcząt z pośród warstw zamożniejszych, poddano rozbiorowi niedostateczność pomocy położnicom, wreszcie dotknięto stosunków prawnych i majątkowych małżonków.

Szkic drobny, *Samobójstwo*, zastanawia się nad rozmiarami przypadków targania się na własne życie, oraz pobudkami, które ludzi pchają do takiego rozpaczliwego kroku. Ostateczny wniosek: „Nawet jeżeli kiedyś zapanuje życie idealnie doskonałe: harmonia wszechludzka i dobrobyt ogólny, to i w takim razie samobójstwo zupełnie nie zniknie z naszego globu: może tylko straci swą siłę epidemiczną i podścielisko, utkane z obecnych warunków bytu. Jeżeli wszakże mamy wierzyć w postęp nieustanny, musimy przyjść do przekonania, że człowiek coraz bardziej będzie zatracał charakter „normalny," tj. roślinny lub zwierzęcy; że dusza jego dojdzie do szczytu wysubtelnienia, a zatem będzie nadzwyczajnie wrażliwa na takie zjawiska ze sfery uczuć, na jakie jest dzisiaj obojętna. Czy więc wtedy udorzenie splotu tych uczuć nie zachwieje czasem jej równowagi, nie pchnie na drogę antanazyi woli."

Poruszono więc w książce mnóstwo palących zagadnień, z których każde dostarczyłoby tematu do obszernych wywodów. Wszak zawarła ona kilkoletnią działalność publicystyczną autora! Trudno przecież zapuszczać się nam w rozbiór kwestyj tam podniesionych, acz mamy do tego ochotę. Chociaż bowiem, przy analizie zjawisk życia, odnajdujemy tam zawsze współczucie dla nizin społecznych i wrażliwość na zagadnienia doby dzisiejszej, przymioty tak rzadkie w naszej publicystyce, to jednak nie zawsze podzielamy zdanie autora co do oceny faktów i dążeń. Poprzestaniemy tylko na podkreśleniu jednej strony zapatrywań Pietkiewicza, mianowicie pewnego sentymentalizmu, występującego niejednokrotnie na stronicach książki jego.

Jeżeli chcemy dopiąć pewnego celu, musimy wyraźnie widzieć przed sobą drogi, prowadzące ku niemu, oraz siły, któremi trzeba się posługiwać. Dotyczy to zarówno zamiarów i planów naszego życia prywatnego, jakoteż stosunków, właściwych pożyciu gromadnemu. Wolno nam idealizować cele ostateczne, do których zmierzamy; to tylko podnieci nasze uczucia, które napewno odezwą się wtedy żywszem uderzeniem serca, niż kiedy przyszłość obedrzemy ze wszelkiego uroku. Szkody nie przyniesie także idealizowanie charakteru tych, którzy walczyli o ideały nam drogie. Z punktu wydajności, takie postępowanie jest nawet pożyteczne. Ale chrońmy się przeceniać te siły dziejowe, które zamierzamy w ruch wprawić, oraz uzdolnienia i instynkty, przy pomocy których działać zamyślamy! W tym razie należy być powściągliwym, bo takie idealizowanie nietylko nie przynosi korzyści, lecz raczej jest szkodliwem. Fakty życia należy brać za to, czem są, tj. jako fakty, niekiedy bezmyślne, częściej nieodpowiadająco naszym najgorętszym życzeniom. Jeżeli coś w życiu nam niepodoba się, nie należy z tego powodu poddawać w wątpliwość jego istnienia. Tymczasem z książki Z. Pietkiewicza odnieśliśmy wrażenie, iż niekiedy zapomina o tem tak zasadniczem przykazaniu oceny zjawiask. Uwydatnia się to zwłaszcza w pewnym ustępie, oceniającym uzdolnienia umysłowe kobiety. Może jakaś zacietrzewiona patryotka sprawy niewieściej będzie autorowi wdzięczna za taką idealizacyę, ale czy ruch emancypacyjny kobiety cokolwiek na tem wygra, bardzo wątpimy. Antropologia zaznaczyła, że mózg do przyswajania jest podatniejszy w okresie wzrastania, który według obrachunku Topinorda u mężczyzny przeciętnie trwa do roku 35 życia, u kobiety zaś do 25, że zdolność ta zmniejsza się, gdy mózg znajduje się w okresie zastoju, wreszcie prawdopodobnie ustaje, gdy nastanie epoka tak zwanego uwiądu starczego, tj. zmniejszania się wagi i objętości tego środkowego organu naszej działalności umysłowej, co dla mężczyzny ma miejsce około 60 roku*). „I tutaj — pisze Z. P. — można byłoby podać mnóstwo faktów, przeczących temu twierdzeniu," a jako jeden z argumentów podaje: „bo zresztą byłoby bardzo smutnem, gdyby porywy wszelkich uczuć ideowych, wrażliwość właściwa młodości, znikała w tym wieku. Mózg w okresie uwiądu może zmienić pewne cechy i stopnie przyswajalności, ale chyba nie zatraca ich zupełnie." Wogóle autor nie wie, co ma począć z tym faktem, iż istnieje wiele wskazówek, dowodzących pewnej odmienności mózgu męzkiego od kobiecego. Kończy więc ryzykownem twierdzeniem: „Bliższe wniknięcie w dotychczasową sumę spostrzeżeń naukowych powinno obalić twierdzenie, że wielki mózg zawiera wielkie genialne myśli, a mały mieści w sobie miernotę umysłową. Zbyt śmiało, gorzej, powiem zuchwało, jest utrzymywanie, że myśl powinna mieć mechaniczny lub chemiczny równoważnik." Innemi słowy, dochodzi do zaprzeczenia podstawowemu założeniu całej nowoczesnej psychologii fizyologicznej! Autor ma słuszność, mówiąc, że ani mikroskop, ani retorta, ani waga nie wykryły jeszcze tajemnic ducha ludzkiego i jego mocy, nie wykryły „komórki myślotwórczej." Może nawet nigdy rzecz ta nie będzie wyjaśnioną, tak może okazać się zawikłaną. Atoli psychologia naukowa nawet wyrzekając się tych swoich marzeń, nie może porzucić stanowiska zasadniczego, że, bądź co bądź, procesy umysłowe muszą mieć jakiś równoznacznik materyalny: chemiczny, mechaniczny lub inny, mniejsza o etykietę.

Ocenę naszą *Szkiców Społecznych* pozwolimy sobie zakończyć ustępem, wyjętym z jej przedmowy:

„Książka jest pożyteczną nie wtedy jedynie, gdy zaciekawia, lecz zarazem, gdy daje powód do poważnych rozmyślań, do baczniejszego patrzenia na świat i jego życie; wreszcie gdy przyczynia się do współdziałania w naprawie złego. Byłbym wielce szczęśliwy, gdyby czytelnicy w mojej książce znaleźli drobną cząstkę takich warunków!"

Otóż nie ulega wątpliwości, że praca Z. Pietkiewicza powinna czytelnikowi nasunąć bardzo wiele myśli. Pozostaną one może nierozwiązanemi, ale w każdym razie winny okazać się w umyśle czytelnika i zachęcić go do przeczytania jeszcze czegoś więcej. Dodajmy, że w naszej tak ubogiej literaturze publicystycznej *Szkice Społeczne* odznaczają się oświetleniem pewnych zagadnień ze stanowiska, które nie jest sympatyczne dla naszych filistrów pióra, co tem bardziej powinno przyczynić się do poważnych rozmyślań i baczniejsze-

*) Doprawdy nie wiem, skąd Z. P. wziął lata 25 dla kobiety, 35 dla mężczyzny jako granicę uwiądu starczego (str. 114)?

go spojrzenia na świat i życie, wreszcie w dalszym ciągu zachęcić do współdziałania w naprawie złego.

K. R. Ż.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Jerzy Mycielski: *Książę „Panie Kochanku"* Studyum historyczne. Petersburg. K. Grendyszyński. 1898, str. 200.

Podania o Radziwille „Panie Kochanku," spisane z opowiadań ustnych przez Henryka Rzewuskiego i Ignacego Chodźkę, idealizujące tę postać, zrobiły ją wielce popularną i bardziej znaną od wielu innych jej spółczesnych, a daleko ważniejszą rolę dziejową odgrywających. Wiele w tych podaniach było niedokładności, a nawet poprostu mówiąc fałszów, które długo uchodziły za prawdę. Dopiero praca Edwarda Kotłubaja („Galerya nieświeska," 1857) oraz bezimiennie wydany „Pamiętnik o księciu Karolu Radziwille" (1864) zbliżyły tę postać do prawdy historycznej; w większym jeszcze stopniu uczyniła to korespondencya księcia, ogłoszona przez K. Waliszewskiego.

Ta ostatnia praca właśnie posłużyła p. Mycielskiemu za pochop do napisania studyum, mającego stanowczo oddzielić zmyślenie od prawdy. Niewątpliwie, autor mniej krępowany względami, jakie miał wydawca korespondencyi księcia, w przeważnej części wypadków starał się dotrzeć do istoty rzeczy, nie osłaniając Karola Radziwiłła mniej lub więcej zręcznemi omówieniami; wskazał dobitnie nietylko niski stopień wykształcenia, zaniedbanego zaraz po śmierci matki, kiedy chłopiec zaledwie trzynaście lat liczył, ale także jego interesowność i brak godności narodowej tam, gdzie chodziło o zachowanie majątków, jego kłamstwa i fałsze, kiedy zdawało mu się, że za ich pomocą zdoła sobie pozyskać sprzymierzeńców, jego przechwałki i wielkie słowa w przedstawianiu własnych ofiar pieniężnych dla kraju, jego naiwność w sprawach polityki i dyplomacyi. Starał się przytem p. M. udowodnić (wbrew twierdzeniu p. Waliszewskiego), że w duszy Karola nie było nigdy jakiegoś ważniejszego przełomu, że od początku znanych jego działań aż do końca ukazuje się nam ona w tem samem świetle.

Uznając te krytyczne zalety pracy (którym, mówiąc nawiasem, nie odpowiadają zalety stylu i układu), tem większe zdziwienie wyrazić muszę co do charakterystyki ogólnej księcia Karola, mdłej i ogólnikowej. Że to był kontuszowy „patryota," zostający w ciągłej względem rządu opozycyi, co chciał na własną rękę zbawiać walącą się Rzeczpospolitę, ale któremu „prywata, duma rodowa i niestarczające (!) zdolności bruździły całe życie i na wiele go w niem naraziły nieszczęść" — tego częściowo tylko dowiodły dokumenty, roztoczone przez p. Mycielskiego. Równie słownem tylko a nie rzeczowem jest określenie, że wśród innych tego rodzaju ludzi zajmie Karol Radziwiłł *znaczne*, choć *nieznaczące* miejsce. Że pamięci jego bezwzględnie potępiać nie można, to już dawniej było wiadomo, chociaż z listów, przytoczonych przez p. Mycielskiego, nic a nic na jego obronę nie przybyło, jeżeli nie damy się uwieść frazesom, którym zaraz zaprzeczają czyny. Dobitniej, silniej i jaskrawiej charakterystyka księcia Karola wypaść-by musiała, gdyby ją napisano z większym talentem literackim. Psychologia u p. Mycielskiego bardzo widać małe ma znaczenie, albo też autor nie umiał z jej wyników skorzystać.

P. Chmielowski.

Deotyma: *Panienka z okienka.* Starodawny romansik. Warszawa. Nakładem St. Sadowskiego. 1898, str. 382.

Deotyma należy do tej dobrej szkoły pisarskiej, która w pracy twórczej widzi pewnego rodzaju służbę społeczną, wzniosły obowiązek, wypełniany z powagą i namaszczeniem kapłańskiem, świętą ofiarę szlachetnych uczuć, wiedzy i talentu, składaną na ołtarzu literatury ojczystej. Zarówno w jej powieściach, jak w poematach i utworach lirycznych, panuje atmosfera niezmiernie czysta, podniosła i szlachetna. Od pierwszych niemal występów swoich na niwie poezyi polskiej, wytworzyła sobie Deotyma odrębny pogląd na zadanie twórczości artystycznej, mającej, według niej, przedewszystkiem na celu podnoszenie ducha i — „krzepienie serc." Zgodnie z poglądem takim, nieodłączne od życia bóle, zawody i troski umie ona ukrywać starannie w głębi duszy przed szerszą rzeszą czytelników, dla których ma tylko na ustach słowa otuchy i nadziei. Złote struny jej lutni dźwięczą zawsze pieśnią życia i energiczną pobudką do czynu — bo stron zwątpienia, szyderstwa i niewiary lutnia ta nie posiada wcale.

Zarzucają autorce „Polski w pieśni," że zapatrzona w napół fantastyczne mary zamierzchłej przyszłości, traci z oczu rzeczywistość współczesną i dłoni na jej pulsie nie trzyma, lecz zarzut taki upada, jeżeli zgodzimy się na to, że od talentu twórczego wymagać tylko możemy, aby był rzetelny i szczery i aby zawsze znajdował się w zgodzie ze swym charakterem i swoją istotą. Nie mamy jednak prawa nakładać jarzma wołego na skrzydła lotnej jaskółki lub żądać orlich wzlotów od łabędzia. A twórczość Deotymy, obok cech niewątpliwej szczerości, nosi na sobie niemniej pożądane znamię, coraz dziś rzadszej, niestety, sumienności pisarskiej, dzięki której, biorąc nawet jej bajkę do ręki, możemy być pewni, że ta bajka, bez żadnej ujmy dla wyobraźni autorki, zawiera trzy czwarte prawdy na swych kartach.

Coś podobnego widzimy właśnie w wydanej świeżo „Panience z okienka." Do tego „starodawnego romansiku" poetka nie przywiązywała, jak się zdaje, większej wagi; pisała go od niechcenia niemal, jak się czasem opowiada dzieciom jedną z tych baśni cudownych o szklanej górze, żywej wodzie lub zaklętej królewnie, a jednak jakże często, obok pełnych poezyi ustępów, czytelnik podziwiać tam musi rozległą wiedzę Deotymy, trafność luźnych uwag i spostrzeżeń, a zwłaszcza mistrzostwo, z jakiem nakreślone zostało ogólne tło wdzięcznego obrazka. Zarówno treść powieści, jak i obszerne przypisy do niej, świadczą wymownie o pietyzmie, z jakim autorka przystępowała do odtwarzania przeszłości; to też, pomijając już nawet nadzwyczajne przygody Imci Pana Kazimierza Koryckiego, porucznika od marynarki Jego Królewskiej Mości Władysława IV, pomijając całą tę romantyczną historyę dwojga sympatycznych kochanków, zakończoną, jak na „starodawny romansik" przystało, aż trzema z rzędu weselami, co wszystko razem samo przez się zaciekawić i zająć jest w stanie, uderza w tej książce przedewszystkiem barwny, ruchliwy i pełen życia i prawdy obraz Gdańska w wieku XVII, skreślony na zasadzie kronik i pomników współczesnych.

Przed oczyma czytelnika przesuwają się więc, niby w czarnoksięskiej latarni, dziwne orszaki weselne, starożytne domy, pełne spichrze zboża, różnobarwne stroje, oryginalne zabawy i tańce mieszczan gdańskich z owej epoki. Autorka odsłania przed nami ich butę i zamożność, ich życie domowe i publiczne, ich uczucia, myśli i dążenia. Prowadzi nas do „domów bursztynowych" i do olbrzymich sal Artusowego Dworu, na gwarne place, pełne ruchu i życia, na ciche ulice, pogrążone w śnie nocy. W „Śpichlerzowej dzielnicy" np. można dopiero czuć i widzieć, jak silnie bije serce Gdańska. W dzień ruch niesłychany. Krocie statków o kształtach wszelakich, ciężkich, wybujałych, jaskułczych. Na statkach i na stopniach domów tysiące ludzi, gadających stu językami, od flisaków krakowskich do murzynów, niewolników jakiegoś zamorskiego armatora. Tu zboże z przeraźliwym skrzypem idzie w górę po „mistrzowskiej" windzie, owdzie z sypkim jękiem spada na szalę niemniej misternej Wagi. Na palowych pomostach pełno stołów dla pisarzy i wekslarzy, pełno budek z błyskotkami, przekupniów z przysmakami. Wszędzie chaos kolorów i dźwięków — jarmark narodów — zrękowiny morza i ziemi, obsyłających się wzajemnie swojemi bogactwami. A wieczorem dzielnica ta staje się jeszcze ciekawsza. „Ruch cichnie — zmrok szarzeje — Motława robi się czarna, jakby Kocyt. Nad ową żelazną wodą bezokienne śpichlerze, ślepe, głuche, siedzą jakby niezgrabnie ociosane opoki. Powietrze, pocięte kreskami lin i masztów, połamane gzygzakami windowych profilów, plącze się w niezrozumiały rysunek. Wtedy wszystkie owe Klonowiczowskie „wschody, wzloty i troty," wszystkie owe młyny krzyżackie o dziwolężnych kształtach, zaczynają majaczyć, niby gród przedpotopowy lub zaklęty, zbudowany nie przez ludzi, ale przez jakieś bajeczne, pół-potworne istoty, które z poza każdego węgła już... już mają wyjrzeć..." A gdy jedenasta się zbliża, wszystko w Gdańsku przycicha i gaśnie. Z uderzeniem zegarów brzmieć zaczyna w powietrzu cudowna muzyka, złożona z trąb i fletów, a gdy ostatni dźwięk fletu rozwieje się wysoko, nic już nie świeci nad Gdańskiem, „tylko tysiączne gwiazdy ciepłej letniej nocy, odbite w czarnych kanałach Śpichlerzowej Wenecyi, w brylantowych szybkach kamienic i w marzeniach serc rozkochanych..."

„Panienka z okienka" — to nie szeroki obraz dziejowy, jak n. p. „Sobieski pod Wiedniem" lub chociażby „Branki w jasyrze." Jest to raczej skromna, cicha, ale przemawiająca do wyobraźni i uczucia, stylowa idylla miłosna, rzucona na tło stosunków, panujących u nas przed dwoma z górą wiekami. Treść jej obraca się głównie około młodzieńczego, wybuchającego z żywiołową siłą uczucia miłości, która w oddalonym Gdańsku połączyła dwa młode i czyste serca. Czytelnik od pierwszej chwili uczuwa sympatyę do młodego, dzielnego, lubiącego niezwykłe przygody pana Kazimierza Koryckiego i śledzi z zajęciem przebieg jego uczuć względem nadobnej wychowanicy mistrza Johanna Schultza. Obrazek Deotymy daleki jest od typu powieści psychologicznych w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, czujemy w nim raczej jakiś wpływ oddalony dawnych romansów rycerskich; lecz mimo to istota owej młodzieńczej, gorącej miłości między dzielnym porucznikiem i Hedwigą oddana została wybornie, że przypomnimy tu choćby owo czarodziejskie odurzenie, w którem pan Kazimierz żyć zaczął z dnia na dzień pod wpływem nowych dlań uczuć, nie chcąc nie przewidywać, o niczem myśleć i dziwiąc się tylko, jak mógł dwadzieścia kilka lat przeżyć na ziemi bez Hedwigi i kiedykolwiek na inne białogłowy spoglądać.

Być może, iż stojąc na stanowisku wymagań współczesnych, surowy krytyk mógłby zarzucić niektórym szczegółom powieści pewną przesadę lub brak prawdopodobieństwa. Razi n. p. nieco zbyt wielkie nagromadzenie przeszkód i niebezpieczeństw, które młoda para zwyciężyć musiała na drodze do szczęścia wzajemnego, a zwłaszcza ów dziwny zbieg okoliczności, dzięki któremu pan Kazimierz, oddając w osobie narzeczonej swojej odnalezioną córkę rodzinie, znalazł zarazem w domu jej matki własną swą siostrę, porwaną przed laty razem z jego Hedwigą przez Tatarów. Są to jednak w gruncie rzecz drobiazgi, nad którymi zatrzymywać się nie warto, wobec pierwszorzędnych zalet powieści, zwłaszcza że te pozorne i istotne nieprawdopodobieństwa leżą najzupełniej w stylu utworu i zapewne przez autorkę świadomie użyte zostały.

Na tle współczesnej naszej literatury powieściowej „Panienka z okienka" zabłysnąć powinna blaskiem czystym, jako dzieło prawdziwego talentu, dorzucające jeden jeszcze listek laurowy do wawrzynowego wieńca zasług na niwie literatury ojczystej, który sobie zdobyła Deotyma.

Wł. Bukowiński.

Klemens Junosza Szaniawski.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

W wtorek zmarł niespodziewanie pisarz, który posiadał swoje własne miejsce w literaturze i nie siedział u nikogo na komornem. A niewielu jest takich! Niewielu autorów poznałby najwprawniejszy krytyk, przeczytawszy ich utwory bez okładki tytułowej. Junosza zdradzał się odrazu swoim szczerym, pogodnym humorem, gorącem umiłowaniem wszystkich ludzi, których pot pracowitych rąk wsiąkał w ziemię ojczystą, nadewszystko zaś przepysznem malowaniem Żydów. Zdaje się, że w tej ostatniej sztuce nie dorównał mu żaden powieściopisarz polski, stanowi też ona główny dowód jego talentu i główny tytuł jego rozgłosu. Junosza przypominał pod tym względem Brandta: jak ten może malować ładne obrazy rozmaitej treści, ale wtedy dopiero okaże swą siłę, gdy przedstawi kozaka, tak on umiał tworzyć zajmujące opowiadania, ale wtedy dopiero był znakomitym artystą, kiedy wprowadził Żyda. Jego zaś Żyd był to zwykle albo nędzarz, karmiący się cebulą i daremnie usiłujący wygrzebać się z życiowego błota, albo niezmordowany spekulant, pragnący każdą sposobność przekuć na pieniądz, albo lichwiarz — „pająk," łapiący w swą sieć nieopatrzne muchy i wysysający z nich ostatnie krople krwi — słowem, niszczący, nieprodukcyjny pasorzyt. W tym ostatnim wyrazie zawiera się cała filozofia społeczna humoru Junoszy odnośnie Żydów. Nie był on wyznaniowym lub rasowym antisemitą, ale ukazywał najrozmaitsze odmiany typu, który nie chce pracować, bo jest do ciężkiej roboty „za delikatny," a „żyć potrzebuje," więc wgryza się i wpija w pracę cudzą, toczy ją jak robak i rozkłada jak baktorya. Muza Szaniawskiego — to nie zła lub wściekła antisemicka suka, która szczeka, wyje, kąsa, rozdziera każdego Żyda lub poprostu każdego człowieka, przechodzącego drogą a nienależącego do jej gospodarstwa, ale smutnie uśmiechnięta patronka wyzyskiwanej pracy ludzkiej.

Talent jest zawsze siłą tajemniczą: trudno też nieraz określić, jakimi środkami Junosza nadawał wyrazistość swym postaciom izraelskim. Wbrew sposobom zwykle używanym nie kładł on im w usta pokaleczonego lub żargonowego języka, unikał wszelkich „znaków szczególnych," a mimo to były tak prawdziwe, tak realne, tak znakomicie uchwycone w swych rysach znamiennych, że odrazu stawały przed naszemi oczami. Było to dowodem znakomitej obserwacyi i głębokiego wniknięcia w charaktery.

Dorobek literacki Junoszy jest dość znaczny, a składa się z powieści, nowel, monologów, kilku utworów scenicznych i mnóstwa okruchów dowcipu, rozrzuconych w pismach humorystycznych, których był ciągłym i bardzo czynnym współpracownikiem. Humor bowiem — naturalny, łagodny a świeży — stanowił główne źródło jego talentu — źródło, które w ciężkich warunkach życia nie mogło wytryskać z należytą mocą i czystością. Junosza nie należał do pieszczochów losu i częściej znajdował się pod kołem, niż na kole Fortuny.

Światło to nie zgasło, lecz zostało przez chorobę zdmuchnięte wtedy, kiedy jeszcze płonąć mogło. Umarł w 49 roku życia. Ci którzy go znali nietylko jako pisarza, ale jako człowieka, wrzucili mu do grobu wraz z ziemią, którą serdecznie kochał, wyrazy szacunku i szczerego żalu. Wszyscy zapewniają, że miał serce.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

JEDNODNIÓWKA. Pod tym tytułem grono malarzy i literatów wydało w Monachium bogato ilustrowany zbiór drobnych utworów i rysunków na dochód kształcącej się młodzieży. Ilustracye rozpoczyna portret Mickiewicza, Radziejowskiego, a poezye, wypełniające przeważnie tekst — śliczny wiersz Konopnickiej. Zarówno pod względem tekstu, jak ilustracyj i zewnętrznej formy wydania całość przedstawia się okazale.

W „BIBLIOTECE DZIEŁ WYBOROWYCH" wydano powieść historyczną F. Wężyka: „Władysław Łokietek," 2 t.

HISTORYA. Nakładem K. Grendászynskiego w Petersburgu wyszedł „Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831," J. Prądzyńskiego (292 str.), wyd. drugie. Pamiętnik ten był napisany po francusku na żądanie Cesarza Mikołaja I i wydrukowany w dziele gen. Puzyrewskiego „Polsko-ruskaja wojna 1831 g."

POEZYE. W Krakowie wyszły „Poezye" Katulla (150 str.), przeł. J. Czubek.

POWIEŚĆ. M. Bałucki: „Zamki na lodzie" (327 str.). Grendyszyński.

HISTORYA LITERATURY. P. Chmielowski: „Obraz literatury polskiej w streszczeniach i wyjątkach," z. 8.

— W. Gostomski: „Historya literat. powszechnej," z. 5.

— D. Zgliński: „Humor w Panu Tadeuszu," wydanie drugie powiększone (38 str. — 20 kop.).

MATEMATYKA. A. Witkowski: „Zasady fizyki," t. II, z. 1 (301 str.). E. Wende.

FILOZOFIA. Wyszedł drugi zeszyt „Przeglądu filozoficznego."

OGRODNICTWO. E. Jankowski: „Dobre rady co do sadów dla ziemian, a głównie dla włościan" (38 str.).

BIOLOGIA. Dr. J. Nusbaum: „Wiadomości początkowe z biologii, czyli nauki o istotach żyjących" (148 str.). Gebetner i Wolff.

ENCYKLOPEDYE. „Rolniczej" wyszedł z. 73, Orgelbranda z. 20.

POEZYE

Uśmiech błazna.

Mówicie, żem postradał wszystko, że mnie życie
Zwaliło z nóg i nadto ostrym kłem ubodło,
Że mi, jak stary groszak, wytarło się godło...
Ach! drodzy przyjaciele, jakżeż się mylicie!..

Tak — młodość była bajką, zgnilizną użycie,
Szczerość w miarę fałszywą, przyjaźń w miarę
[podłą...
Ależ, na Boga! czyżby wszystko mnie zawiodło?
Ach, drodzy przyjaciele, jakże się mylicie!..

No, a spojrzcież w twarz mi! Czyliż tam nie gości
Coś stokroć więcej warte, niżli dłoń przyjazna,
Niż wizye oszołomień, niż orgie miłości,

Niżeli wszystkie piękna cudactwa i dziwy?
Zazdrościcie mi? Prawda? To skarb! ten poczciwy,
Stężały, nieśmiertelnie głupi uśmiech błazna!..

Władysław Sterling.

O PRAWDĘ.

Prawda i prawdopodobieństwo.

(Odpowiedź na artykuł p. Wł. Kozłowskiego: „Pewność sądów").

W nr. 10 *Prawdy* p. Wł. Kozłowski (ze Lwowa) w artykule swoim „Pewność sądów" wytoczył zarzuty przeciwko jednemu szczegółowi z pracy mojej: „Co to jest nauka?" zamieszczonej w „Przeglądzie filozoficznym."

Zarzuty jego tak dadzą się streścić. Przyjmując, że doświadczenie jest źródłem wszelkiej wiedzy, a sprawdzalność i konsekwentność są rękojmiami wszelkiej nauki, jednocześnie pewniki logiczne i matematyczne oraz logicznie z nich wysnute twierdzenia nazywam *prawdami*, gdy tymczasem wszelkie empiryczne sądy naukowe nazywam *prawdopodobieństwami*. Wbrew temu krytyk jest zdania, że, popierwsze, powinienbym konsekwentnie pewniki logiczne i matematyczne, jako doświadczalne i sprawdzalne, uznać tylko za prawdopodobieństwa; że, powtóre, sądy empiryczne, np. formuły praw przyrody, powinienbym uznać za tak samo pewne i prawdziwe, jak wzmiankowane pewniki.

Bardzo łatwo podołałbym tym zarzutom, gdyby nie to, że krytyk w wywody swoje wplótł sporo własnych twierdzeń nieudowodnionych, z których główniejsze przynajmniej odeprzeć muszę, gdyż mogą ujść w oczach czytelnika nieobytego z przedmiotem za argumenty skutecznie wymierzone przeciwko moim poglądom, jak widocznie uchodzą za takie w oczach krytyka samego. W szczupłych ramach artykułu muszę więc działać nietylko odpornie, lecz i zaczepnie zarazem.

Najwybitniejszym, jak sądzę, szkopułem jest sposób, w jaki p. K. pojmuje termin *doświadczenie*. Utrzymuje on, że dla uznania prawdy, iż prosta linia jest najkrótszą „drogą" między dwoma punktami, „trzeba wiedzieć z doświadczenia, czem jest prosta linia i droga." Otóż przedewszystkiem, czem jest „droga" — w rzeczy samej trzeba wiedzieć z doświadczenia *zewnętrznego*, które p. K. bodaj wyłącznie ma na oku; ale ja, formułując pewnik geometryczny o linii prostej, nic nie mówię o „drodze," która nie jest pojęciem geometrycznem i natomiast wyraźnie mówię o „odległości." „Drogę" trzeba poznać z doświadczenia zewnętrznego — to prawda, ale linii prostej w znaczeniu geometrycznem nie można poznać z doświadczenia zewnętrznego, chociażby nawet geometryczne linie proste istniały przedmiotowo, nie zaś tylko w naszej intuicyi i pojęciu, bo, jak to już Kepler świetnie objaśnił, nie rozpo-

rządzamy środkami do stwierdzenia ich bezwzględnej prostokreślności. W wytwarzaniu pojęcia linii prostej biorą udział doświadczenia zewnętrzne, ale przerabiamy je po swojemu na coś takiego, co nigdy w doświadczeniu zewnętrznem nie bywa nam dane, co odnajdujemy tylko w doświadczeniu *wewnętrznem*, jakoż przedmiotowa sprawdzalność linii prostej oraz jej geometrycznych własności nic geometryę nie obchodzi. Geometrya żadnych „uzupełnień“ ani „pogłębień,“ o których krytyk mówi, od doświadczenia zewnętrznego nie oczekuje, prawdy zaś jej wciąż i z nieubłaganą oczywistością sprawdzalne w intuicyi każdego umysłu, który je zrozumiał, bynajmniej nie zależą od sprawdzań zewnętrznych i geometrya indukcyjna, oparta na pomiarach linii, kątów i kół danych w doświadczeniu zewnętrznem, nie miałaby charakteru matematycznego: byłaby wciąż zależną od niedokładności pomiarów i nigdy niedających się wyczerpać sprawdzeń zewnętrznych, jak np. astronomia.

W geometryi, jak w ogóle w matematyce, a także w logice, umysł czuje się niezależnym od wszelkich doświadczeń zewnętrznych, zadawala się sprawdzalnością wewnętrzną, tem, że prawdy logiczne i matematyczne są koniecznemi, że inaczej ich pomyśleć nie można bez sprzeczności ze świadectwem intuicyi, chociażby tam wszystkie doświadczenia zewnętrzne zawsze im przeczyły. Tymczasem w fizyce twierdzenia o tyle tylko posiadają wartość naukową, o ile się sprawdzają w doświadczeniu zewnętrznem. Twierdzeń matematycznych nigdy nie ściągamy do świata zewnętrznego, tylko w przybliżeniu je stosujemy, gdy tymczasem twierdzenia fizyczne ściągamy do narzucających się nam doświadczeń zewnętrznych i od zgodności z niemi uzależniamy wartość fizyki naszej.

Gdy w intuicyi swojej odnajduję tylko przestrzeń trzywymiarową, jakiekolwiek jest pochodzenie tej intuicyi, i gdy w przestrzeni tej nie mogę w sposób dla siebie oczywisty pomyśleć krótszej odległości pomiędzy dwoma punktami od prostej linii, to, wbrew wszelkim metageometryom i doświadczeniom zewnętrznym, jest to moje doświadczenie wewnętrzne, którego wartość sprawdzam w sobie, ilekroć przekonywam się, że innej intuicyi przestrzeni nie posiadam i posiąść nie mogę. Nietylko nigdy nie poznałem umysłu, któryby pod tym względem był odmiennym od mojego, ale nie zdołam sobie wyobrazić takiego, dla którego taka intuicya przestrzeni i taki pewnik o linii prostej nie byłyby oczywistemi, o ile je sobie uprzytomni. Metageometria przez dowolną definicyę słowną albo, według Leibniza, symboliczną, nie zaś przez intuicyę dochodzi do pojęcia przestrzeni o dowolnej ilości wymiarów. Tylko pewniki intuicyjne oczywiste oraz ściśle logicznie z nich wysnute twierdzenia nazywam *prawdami*, korzystając tu, wraz z Hobbesem, z przysługującego każdemu prawa dowolnego definiowania pojęć naukowych, pod warunkiem dalszej konsekwencyi.

Weźmy teraz jakie czysto empiryczne twierdzenie, chociażby, jak chce krytyk, że woda składa się z tlenu i wodoru, i porównajmy je z twierdzeniem geometrycznem, że suma kątów trójkąta płaskiego równa się dwom prostym. Doświadczenie, że określony związek tlenu z wodorem daje wodę, narzuca mi się, jest mi dane, ale bynajmniej nie widzę konieczności dlaczegoby z tego związku miała powstawać mianowicie woda, nie zaś wino; pochodność wody z tlenu i wodoru nie jest oczywistą i konieczną dla mojego umysłu, jak zależność powyższej prawdy geometrycznej od własności danego mi w intuicyi trójkąta. Nie zrozumiem konieczności, by woda miała zjawiać się z połączenia tlenu i wodoru; tak bywało, ale dlaczegoby tak zawsze być miało— nie wiem, bo nie znam tych wszystkich warunków we wszechświecie, od których ta zbieżność zjawisk zależeć może, bo zresztą nie widzę, czemuby nie miało być inaczej.

Dogmatyzowanie empirycznych praw przyrody jest wręcz przeciwne istocie nauk, a źródłem tego częstego błędu jest hipostazyowanie logicznego prawa tożsamości, które obowiązuje myśl naszą, ale nie rzeczywistość, empirycznie poznawaną. Według prawa tożsamości musimy myśleć, że co jest, to jest, jeżeli myśl ma być w zgodzie sama z sobą; ale prawo to nie upoważnia nas do twierdzenia, że to, co jest, było i będzie wiecznie tem samem, niezależnie od naszej myśli, że rzeczywistość jest niezmienną w czasie, w przeciwnym bowiem razie każde pojedyncze doświadczenie mogłoby być pasowanem na godność prawa bezwzględnego.

Zanim nie poznano w nowszych już czasach księżyców Urana i Neptuna, astronomia na podstawie doświadczeń twierdziła, że wszystkie księżyce zataczają drogi dokoła planet swoich z zachodu na wschód; okazało się jednak, że księżyce Urana i Neptuna mają bieg odwrotny. Otóż, nie widzimy konieczności ani jednego, ani drugiego. Dawniej i do nie dawna biologowie utrzymywali, że zwierzęta oddychają tlenem, rośliny zaś kwasem węglanym; dziś, przeciwnie, utrzymujemy, że te i tamte oddychają tlenem, bo tak nas uczy poprawniejsze, jak sądzimy, doświadczenie. Według nie byle kogo, lecz Lavoisiera, wszystkie kwasy zawierają w składzie swoim tlen (stąd *oxygenium*), chociaż w chwili, gdy Lavoisier ginął na rusztowaniu gilotyny, Bertollet wykazywał, że siarkowodór i cyanowodór nie zawierają w sobie tlenu. Zanim Kirchhof i Bunsen nie wyodrębnili za pomocą spektroskopu cezu i rubidu, w wielu związkach brano te pierwiastki za potas, chociaż dziś na podstawie doświadczeń twierdzimy, że potas w te związki nie wchodzi. We wszystkich tych przypadkach umysł nasz jest zupełnie zależny od doświadczeń zewnętrznych i żadnej wewnętrznej konieczności przyjmowania tego lub owego nie widzi. Gdyby od jutra związek tlenu z wodorem dawał wino lub gdyby się okazało, że to, co w składzie wody braliśmy za tlen, nie jest tlenem, musielibyśmy w pokorze przyjąć ten fakt empiryczny, chociaż nie rozumielibyśmy go tak samo, jak dziś nie rozumiemy koniecznego związku wody z tlenem i wodorem. Gdyby natomiast twierdzenie geometryczne, że suma kątów trójkąta równa się dwom prostym nigdy nie stwierdziło się w pomiarach doświadczalnych, jak w rzeczy samej stwierdzonem być nie może, nie zdołałoby to zachwiać pewności tego twierdzenia ani o jotę, bo rozumiemy, jak ono z koniecznością nieubłaganą wynika z własności danego nam w intuicyi trójkąta. W fakcie, że od jutra z tlenu i wodoru zamiast wody otrzymywałoby się wino, niema wcale sprzeczności, bo niema intuicyi i zrozumienia; jest tylko niezgodność z doświadczeniem dotychczasowem. Tymczasem, twierdzenie, że suma kątów trójkąta równa się jednemu prostemu, jest w oczywistej sprzeczności z intuicyą trójkąta, co każdej chwili wewnętrznie sprawdzić mogę i przeciwko czemu umysł mój protestuje, o ile sam siebie wyrzec się nie może.

(D. n.).

Ad. Mahrburg.

W DALI.

Ryga. Powstaje Towarzystwo ubezpieczeń fabrykantów od wypadków nieszczęśliwych z robotnikami. Odpowiada ono majątkowo za śmierć lub kalectwo robotników zakładów stowarzyszonych. Do o związku może należeć każdy zakład, zatrudniający przynajmniej dwu robotników, przyczem każda fabryka związkowa musi obowiązkowo ubezpieczać każdego pracownika, pobierającego mniej, niż 1,200 rs. płacy rocznej. Poszkodowani mogą się zwracać bądź wprost do zarządu Towarzystwa, bądź za pośrednictwem sądu. W pierwszym wypadku Tow. wypłaca: *a*) w razie zupełnej nieudolności do pracy — rentę roczną w sumie rocznego zarobku, o ile ten nie przechodził — $^3/_4$ zarobku, lecz nie mniej 240 rs., *b*) w razie częściowej nieudolności — 60% zarobku rocznego. Fundusze Towarzystwa powstają z udziałów, wpłaconych przez uczestników jednorazowo przy zapisie i z corocznych opłat ubezpieczeniowych. Ustawy wzorowane na powyższej zatwierdza ministeryum skarbu. Ustawa ryska otrzymała zatwierdzenie w d. 30-ym stycznia st. st.

Petersburg. W ogłaszanych w *Wiestn. finansów* wyciągach z raportów konsulów rosyjskich i zagranicznych umieszczono raport konsula północno-amerykańskiego w Chemnitz, dotyczący znaczenia kolei Syberyjskiej. Obecnie większość państw europejskich prowadzi handel ze Wschodem przez Niemcy, ponieważ bezpośrednia komunikacya z Ameryką pociąga za sobą znaczne koszty ładowania, przeładowywania i wyładowywania towarów. Państwo niemieckie stara się popierać ten handel, płacąc rocznie *Lloyd*'owi północno-amerykańskiemu w Bremie 2,700,000 marek za wyprawianie raz na miesiąc statku do Indyi i Australii. Droga prowadzi przez kanał Sueski i trwa od 33 do 36 dni. Lecz oto zjawia się nowy i niebezpieczny współzawodnik. Wkrótce ukończona będzie budowa wielkiej kolei Syberyjskiej. Podróż z Berlina do Moskwy trwa 44 godziny, a z Moskwy do Władywostoku 14 dni. Tym sposobem, ażeby dostać się z Berlina nad morze Japońskie, potrzeba zużyć zaledwie 16 dni. Ponieważ podróż z Władywostoku do Jokohamy trwa dni 6, zatem Berlin od Japonii dzielić będzie zaledwie 22 dni drogi, zamiast, jak dawniej, 33 do 36. Rosya zechce zapewne nadać kolei Syberyjskiej jaknajwiększe znaczenie dla rolnictwa, handlu i przemysłu, nie ulega przeto wątpliwości, że kolej Syberyjska, wcześniej lub później, otrzyma tor podwójny. Tym sposobem liniom transportowym Europy zachodniej, zwłaszcza niemieckim, grozi zupełny upadek. Dopóki nie będą przekopane kanały Panamski i Nikaraguaski, stosunki handlowe z całym Wschodem znajdą się w rękach Rosyi. Rząd niemiecki zawczasu przedsiębierze środki w obronie swoich interesów. Jeszcze nie upłynął termin kontraktu pomiędzy *Lloyd*'em a rządem niemieckim, a już ten ostatni zaproponował zwiększenie zasiłku o 1½ mil. marek i przedłużenie kontraktu na lat 15, lecz z warunkiem, iżby *Lloyd* wysyłał statki do Indyj co dwa tygodnie.

KRONIKA.

Czytelnie bezpłatne. *Kuryer Warsz.* pisze: „Nad czytelniami bezpłatnemi warsz. Towarzystwa dobroczynności będzie ustanowiona specyalna kontrola rządowa, którą sprawować będzie pozostający do rozporządzenia J. O. Generał-Gubernatora rz. r. st. Kowzan. Naczelnik zakładów dobroczynnych, p. Ziłow, zawiadomił zarząd Towarzystwa dobroczynności, że niezależnie od przejrzenia dotychczasowych katalogów książek, znajdujących się w czytelniach, na przyszłość książki mogą być kupowane lub przyjmowane do czytelni bezpłatnych dopiero po zaakceptowaniu ich przez p. Ziłowa.

Szkoły. Egzaminy kandydatów pragnących otrzymać świadectwa z ukończenia kursu szkół realnych (b. ich uczniów) wolno zdawać w r. b. jedynie w szkołach realnych w Łowiczu, Kaliszu i Sosnowicach (w tej ostatniej tylko z kursu siedmiu klas, gdyż uzupełniająca jeszcze nie otwarta). W szkole warszawskiej, z powodu znacznej liczby jej uczniów oraz wychowańców szkół prywatnych pp. Trejdosiewicza i Górskiego, przystępujących w r. b. do egzaminów ostatecznych, dopuszczenie kandydatów obcych jest niemożliwe.

Wystawy i zjazdy. D. 25 b. m. otwarto w Petersburgu zjazd przedstawicieli szkolnictwa zawodowego. Program podzielono na sekcye, stosownie do typu szkół istniejących: szkół technicznych średnich 5-ciu specyalności rozmaitych, szkół technicznych trzech specyalności, rzemieślniczych według ustawy z r. 1889, szkół uczniów rzemieślniczych z r. 1893 i rzemieślniczych niższych z r. 1895. Nadto zjazd ma się zastanawiać nad przyjęciami wychowańców szkół przemysłowych w służbie wojskowej, nad programem wykładów umiejętności graficznych, wykładów ogólnie kształcących itd.

Odczyty. P. M Ciemniewski w szeregu wykładów popularnych wygłosił d. 22 b. m. odczyt „O przewidywaniu pogody.“

— P. Austen w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa wypowiedział w ubiegłą niedzielę odczyt „O impresyonizmie.“

Zdrowie publiczne. Poruszono sprawę utworzenia przy szpitalu wolskim oddziału chirurgicznego i.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych postanowił zawiesić wydawnictwa gazet: *Odeskij listok* i *Odeskija Nowosti* na miesiąc i gazetę *Donskija Wiedomosti* na dwa miesiące.

Dobroczynność. Współwłaściciel zakładów żyrardowskich p. Dietrych, ofiarował 100,000 rs. na założenie w Żyrardowie przytułku dla starych i niedołężnych przy pracy robotników fabrycznych. Z sumy tej przeznaczono 40,000 na budowę gmachu a 60,000 stanowić będzie fundusz, od którego procenty pójdą na utrzymanie zakładu.

Przemysł i handel. Do handlu rządowego w Królestwie Polskiem potrzeba będzie w roku bieżący ogółem 4,789,000 wiader okowity 40%. Z tego według rozkładu przypada na gorzelnie 3,159,100 wiader, a drogą licytacyi postanowiono nabyć 1.629,900 wiader. Ogółem zawarto dotychczas kontraktów na dostawę 2,909,560 wiader. Niezbędną na potrzeby monopolu okowitę rząd nabywa w ilości 2/3 spożycia rocznego z gorzelni w danym okręgu, pędzących produktów ze zboża i kartofli, po cenie, oznaczanej corocznie przez ministeryum skarbu, stosownie do warunków miejscowych. Pozostała zaś ilość okowity nabywana jest drogą licytacyi. Według umowy tegorocznej, za wiadro okowity w gub. Suwalskiej rząd płaci 72 kop., we wszystkich innych — po 58.

— Powstanie Towarzystwo ubezpieczeń wzajemnych nieruchomości i ruchomości właścicieli ziemskich gubernij południowo-zachodnich. Założyciele kołaczą do ministeryum skarbu o kredyt do sumy 300,000 rs. na kapitał zakładowy.

OFIARY.

Na wpisy dla studentów:
Z Bessarabii rs. 50.
Dla Biegasa:
Z Petersburga rs. 40.

Wyszła z druku i jest do nabycia w redakcyi *Prawdy* książka

ZENONA PIETKIEWICZA

p. t.:

SZKICE SPOŁECZNE.

(I. Nędza i miłosierdzie. II. Hygiena i życie. III. Kobieta. IV. Samobójstwo).

Str. 203.

Cena rs. 1 kop. 20, z przesyłką rekomendowaną rs. 1 kop. 40.

-- Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dokończenie dzieła dr. J. Dallemagne'a p. t. **Człowiek zwyrodniały.**

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 12 Марта 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.